

BONAPARTE

Gawędy
o dawnym obyczaju

WYBÓR CIEKAWYCH PAMIĘTNIKÓW
XVIII i XIX STULECIA

POD REDAKCJĄ
STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

TOM IV
BONAPARTE



LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

Bonaparte

OPOWIEŚCI
WIARUSÓW POLSKICH O CESARZU

PRZEDMOWĘ NAPISAŁ
TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN



LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

Wojewódzka
Biblioteka Ben
Publiczna 2119

w
Poznaniu

1119

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Z TŁOCZARNI WYDAWNICTWA POLSKIEGO WE LWOWIE

„Żołnierze! Jesteście nadzy, źle żywieni. Rząd, który winien wam dać wiele, nie może wam dać nic. Wytrwałość i odwaga, którą wykazujecie pośród tych skał, godne podziwu są, nie dadzą wam one jednak sławy. Chcę poprowadzić was w najżyźniejsze doliny świata. Bogate prowincje i wielkie miasta będą w waszej mocy. Znajdziecie tam zaszczyty, sławę i bogactwa. Żołnierze armji Włoch! Czyż zabraknie wam odwagi i wytrwałości?”

Tak pisał Bonaparte do swej nagiej, nędznej i głodnej armji, na jej czele po raz pierwszy stojąc dnia 27-go marca 1796 r. A miał wtedy zaledwo lat dwadzieścia pięć.

Szturmem zdobył sobie serca żołnierzy, a oni mu zato szturmem zdobyli pół Europy. Wiedział bowiem w jaką uderzyć strunę duszy ludzkiej, duszy żołnierskiej, która jest równie naiwna i równie pierwotna jak dusza dziecka. Doniosły głos Jego toczył się jak grzmot ponad walczącemi szeregami i chwytal w szpony serca wiarusów.

A w szeregach tych wszędzie, wszędzie pod pstrym mundurem obcych czaili się polscy rycerze: tragiczne niedobitki ostatnich Wojsk Polskich. „oficyerowie“ z pod Dubienki i cesarskie piechury z zajętych świeżo prowincyj polskich. I tam, w dolinie Padu, przyszła na świat żołnierska legenda o Napoleonie. Karmiona

krwią i dymem armatnim, rosła na piersiach męźnych, bezimienna; a w tornistrach żołnierskich przywędrowała „z ziemi włoskiej — do Polski“. I tu osiadła już jak u siebie, głębokie zapuszczając korzenie, i była na stare lata piastunką nowych pokoleń, co pod jej piórami tęsknie uczyło się patrzeć ku Francji. Toteż stało się wkońcu tak, — a stwierdzają to sami Francuzi — że legenda napoleońska żywsza i barwniejsza jest do dziś dnia u nas niż nawet — we Francji. W oczach jej bowiem wszystkie bojowe poczynania ujarzmionej Polski miały w niej swą tajemną podniętę aż do ostatnich nawet lat.

Wniknijmyż głębiej w tajne mroki tej legendy. Dlaczego, pytamy, ocknąwszy się z pierwszego olśnienia, tyle lat, tyle tysięcy ludzi zabijało i darowało się zabijać? Zdzierało nogi na strzepy w strasznych marszach — pomyślmy! — pieszych — od Pirenejów aż po Moskwę, od Alp po piramidy i Arabską pustynię, tam i zpowrotem, tam i zpowrotem, marsze, kontrmarsze, w dzień, w nocy, w upał i w mrozy, bez butów, w podartych mundurach, na złych drogach lub bez dróg, z ciężką bronią, małą ilością amunicji (bagnę rozstrzygał bój piechoty) przy niedostatecznej opiece sanitarnej i operacjach, dokonywanych na zimno.

A w nagrodę — nieregularny mieli żołd, lichą strawę i przecież wreszcie zapomniany jakiś grób — w obczyźnie. Ale jeszcze — jeden uśmiech Cesarza!

Napoleon nie byłby tem, czem był, gdyby nie jego głęboka znajomość duszy ludzkiej wogóle, żołnierskiej w szczególności. Niepozorny, mały, szaro odziany, mimo cały swój absolutyzm i imperatorskie ambicje wyrósł z ducha Wielkiej Rewolucji.

I dlatego stał się on najdemokratyczniejszym ze wszystkich wodzów świata. Każdy żołnierz miał prawo do niego przemówić, wiedział i wierzył w to, że „Mały Kapral“ nie da go skrzywdzić i weźmie jego stronę.

Czuł się wolnym obywatelem, podległym tylko Jemu, wierzył dalej i czuł, że na jego bagnecie wspiera się to potężne Cesarstwo. czuł, że jest ognym ogniem i wichrem, co burzy państwa i buduje nowe królestwa.

Czuł to wszystko podświadomie, ale czuł. Cierpiało jego ciało, ale ambicja szła z orłami w zawody.

Upił się sławą do zachłyśnięcia i wierzył, że po to tylko żyje na świecie, aby być jego żołnierzem. Kule? Bagnety? Mróz? Pusty tornister? Drobiazgi! Bo oto... Cesarz jedzie! Tam — daleko, sztab wokoło, kapiący od złota, on sam szary, skromny, najukochańszy! a więc — podwójnym krokiem naprzód, marsz! „wiw lamprur“!

Wszelako słyszy się, że dziś, po wielkiej wojnie, przygasły silnie promienie legendy, a co ważniejsze, zmalała wielkość wodza i stratega... Czyżby? Bo posłuchajmy, co o tem mówi człowiek chyba miarodajny, bo — marszałek Foche. W przedmowie do wydanej niedawno książki G. Lacour-Gayeta pisze on: Napoléon c'est l'inspirateur des deux victorieuses batailles de la Marne... A dalej: C'est le principal ouvrier de la France moderne... Francji, a może i Polski?..

Na kartach następnych posłuchamy opowieści żołnierzy napoleońskich, którzy z bogatej skarbnicy swych przeżyć udzielą nam tych wspomnień, które były im najdroższe. Opowiedzą, kiedy i w jakich okolicznościach mówili z cesarzem.

Wybicki opowie o tem, jak grał w karty z Napoleonem, Chłapowski o tem, jak nie wypił Chambertina; usłyszymy o brzydkim słówku, które musiał przelknąć gen. Krasieński, i o egzekucji, grożącej Michałowskiemu, o markietance Baśce, i o kawalarzu Wolskim, który robił lody w Egipcie.

Nie sami żołnierze zresztą. Panna Parys pochwali się swą świetną partją z generałem, a Helena Radziwiłłowa zabawną omyłką; znajdziemy się na chwilę w Moskwie, w Smoleńsku i nad Berezyną, w hotelu Angielskim i na poczcie w Łomży.

Wszystkich mówiących oczy ku Cesarzowi zwracają się; o Nim piszą, o Nim mówią, z Nim mówią — a dalej On sam głos zabiera: mówi, pisze, rozkazuje, gniewa się, śmieje, nienawidzi.

Nie nadludzkiej indywidualności Bonapartego spaja te luźne obrazki i sprawia, że w miarę czytania tych kart posąg Napoleona, szary od dymu i oparów krwi, okrywa się kolorową opończę codziennych, a jednak niezwykłych wydarzeń. Sprawia, że postać nabiera życia, ciepła, barw. I zbliża się ku nam, zwykłym ludziom. Widać rysy i skazy, ale też i drogocenne perły.

Łzy radości i żalu tych, którzy go kochali.

TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN.

OCZYMA DZIECKA.

Gdy świetny pisarz francuski, J. Michelet, chciał raz u pewnego słuchaczom swoim w *Collège de France* uzmysłowić potęgę wpływu Napoleona — opowiedział im zdarzenie następujące:

„Nasz sławny kolega i przyjaciel, Adam Mickiewicz, opisywał mi nieraz wrażenie, jakiego doznał, będąc jeszcze dzieckiem, gdy ujrzał w 1812 r. powracające szeregi rozbitków francuskich z Moskwy. Było to w czasie największych mrozów. Polacy żyli w nieustającym niepokoju, w gorączkowym oczekiwaniu. Co rana widziano z przerażeniem, iż termometr coraz niżej spada. Tymczasem nadchodziły nowe i nowe wojska i wszystko było nimi przepelnione: domy, gmachy publiczne, a także szkoła, do której wówczas chodził Mickiewicz. Zimno wciąż potężniało. Po salach i w sieniach rozpalano ogień dla żołnierzy. Mickiewicz, mający lat czternaście, często odwiedzał tych biednych, do duchów podobnych ludzi. Mnodzy z pośród nich odbyli ten marsz nie do pojęcia, chyba tylko podtrzymywani jakąś wewnętrzną siłą, którejby w ich mizernej postaci nikt nie przypuścił. Otóż przyszedł wielki poeta dojrzał odrazu w ten zjawisku przyczynę, której dotąd nikt nie był zbadał. Ci starsi wojacy nie kładli się nigdy na spoczynek; w nocy nokoło ognia znajdowano ich zawsze z głową, wspartą na łokciu, marzących.

Utracili byli sen, przyzwyczajeni do niewygód, odwykli od dłuższego spoczynku. Za wiele było dla jednych i tych samych ludzi rozpoczynać swój zawód w 1792 r. i znajdować się jeszcze pod bronią w 1812 r. Więc się im też ta krwawa historia wciąż obracała w myśli: marzyli i marzyli o niej. Mickiewicz, wpatrując się godzinami w twarze wiarusów, zapytał pewnego dnia z powagą, nie licując z jego dziecinnym wiekiem:

— „Jużeście bardzo starzy, czemuż więc opuściliście wasz kraj, aby aż tutaj podążyć?“

A wtenczas grenadjerzy odrzekli, pokręcając swojego wąsa:

— „Bo nie mogliśmy Go opuścić, nie mogliśmy zostawić Go samego“.

Był to głęboki głos wielkiej armji: „Nie mogliśmy *go* opuścić, zostawić *go* samego“. Więc dla tych wiarusów nie liczyły się nowe pokolenia i te pięćdziesiąt plemion, które Napoleon ciągnął za sobą. Bez nich Napoleon byłby sam. Wielka zaiste odpowiedź w swej prostocie: czuć w niej tętno serca Francji. Serca owych wojaków były jeszcze gorętsze od ich poświęcenia. I oto ten skarb najcenniejszy uratowany nam został i przechowany przez polską dziecinę“.

W DRODZE DO POLSKI.

Było to w r. 1806 w Berlinie po rozgromieniu Prus. W gabinecie Napoleona bawił właśnie na posłuchaniu gen. Jan Henryk Dąbrowski, gdy wtem rozległ się głos szambelana dyżurnego:

— Polak, pan Wybicki, do cesarza!

„Otworzono mi pokój — opowiada o tem posłuchaniu

sam Wybicki — zastałem Napoleona przy kominku i zacząłem mówić. Przerwał mi i z jakąś ciekawością nagle zapytał, czy jestem Wybicki (tak mnie zwykle nazywał), czy ten jestem, co mi dobra skonfiskowano? Na co gdy odpowiedziałem, zwrócił zaraz znowu zapytanie, jakiej były wartości te dobra moje? Tą dobrocią jego ośmielony, odpowiedziałem, że to przedmiot nadto mały, abym miał nim trudzić cesarza. Raczej czekam jego rozkazów, w czym mogę być pożyteczny. Przytomni rozmowie byli sławny Berthier i Dąbrowski. Z zadziwieniem patrzeli na mnie, a wtem cesarz ruszył się od kominka, zaczął chodzić po pokoju i mnie także obok siebie chodzić rozkazał.

Zaczął mówić, że mu wypada ścigać nieprzyjaciela przez Polskę. Że on ten kraj, rozszarpany i zatracony, chce wskrzesić, ale mu trzeba wiedzieć, czy wojsko znajdzie w Polsce wygody i żywność? Odpowiedziałem z wielką przytomnością, iż jeżeli wniknie do kraju jako zwycięzca, wszystko nakazać może, ale jeżeli wchodząc, oświadczy się być naszym wskrzesicielem, wszystko mu sami poniesiem w ofierze!

Na to cesarz: — „Czy mi to waćpan zaręczasz?“

„Zaręczam śmiało, — odpowiedziałem, — bo Polak krew i byt swój cały odda do odzyskania swej niepodległości i ojczyzny“.

To mówiąc, w zapale miałem uchwycić cesarza za rękę. On zaś, czytając z mej twarzy te szczere wyznania, odezwał się:

— „Wiem, że posiadasz wielkie zaufanie u swoich współrodaków, napisz tu więc zaraz proklamację do nich, iż wchodzę do Polski w trzykroć sto tysięcy wojska, iż góry obaczę, że są godni być narodem, będą

nim i t. d.“ Ja na to, cały rozczulony, odpowiadam, iż w moment tę proklamację napiszę i jeżeli wolno, cesarzowi przyniosę. On na to: „I owszem“.

Wyszedłem tedy z Dąbrowskim, a nie posiadając się znowu z radości, napisałem naprzód proklamację po polsku, a potem wraz z adjutantem Dąbrowskiego, panem Hauke, przełożyliśmy ją na język francuski. Pozostawało wiedzieć, jak ją przyjmie cesarz, ile że był bardzo trudny w aprobacji pisma, gdzie była o nim wzmianka.

Cesarz atoli nadspodziewanie dobrze przyjął napisaną proklamację, nie nie dodawszy, ani ująwszy, mocne zaraz wydał rozkazy, aby co prędzej ją drukowano i skoro wyjdzie z druku, abyśmy na całą noc ruszali do Poznania, gdzie wkrótce przybędzie, nadał mi w imieniu swoim moc organizowania władz sądowniczych i administracyjnych, generałowi Dąbrowskiemu poruczył formowanie nowych korpusów w uniformach polskich“.

Gdy wieczorem nadeszła do Poznania wiadomość o ustąpieniu Prusaków z Warszawy, cesarz posłał po wtórnie po Wybickiego.

„Przeszedłem do niego przez orszak dam naszych, na wielkiej sali będących. Cesarz zaraz do mnie z uśmiechem wyrzekł:

— „Warszawa już jest w mem ręku“. Tu czytał mi łaskawie wszelkie raporta, a nawet proklamację ks. Józefa Poniatowskiego. To wszystko mi opowiedział, wziął mnie nabok i wyraził:

— „Jestem kontent z tego, coś waćpan dotąd uczynił, jedź więc na całą noc do Warszawy i równie jak tu uorganizujesz urzędy rządowe i uformowanie

zaciągów wojennych się zatrudnisz“. Gdy na to skłoniłem się i prosiłem o rozkazy na piśmie, Napoleon wezwał generała Berthier, aby mi potrzebne dał rozkazy, a tymczasem, zatrzymawszy mnie, powiedział:

— „Kontent jestem z tego, coś WPan względem nowego popisu wojska zrobił. Ale ja nie chcę, żeby to tylko tłuszcza waszego chłopstwa należała; trzeba, żeby cały naród, wasi magnaci, wzięli się do oręża“.

Na co ja: — „A więcby wypadało pospolite ruszenie nakazać“.

Na co on: — „*Oui, oui je veux votre pospolite*“.

Na to ja: — „A więc w nocy wyjechać nie mogę, bo muszę pisać uniwersał, co tu przytomny wojewoda Radziwiński podług prawa podpisze“.

— „Rób, jak możesz, odpowiada cesarz, aby tylko się stało“.

Pożegnałem go i wracając znowu przez orszak dam zgromadzonych, miałem grzeczne wyrzuty, że blisko godzinę dla mnie cesarz się zatrzymał i im ukontentowanie spóźnił. Co do mnie, w nowem całym byłem pomieszaniu“.

Wybicki miał jeszcze nieraz później rozmowy i spotkania z Napoleonem. Gdy wojska francuskie przeszły Wisłę, zagnała — opowiada w swych wspomnieniach — otrzymałem rozkaz, żebym się do wsi Okuniewa nad Narwią stawił, gdzie na moment Napoleon miał główną kwaterę.

Przybyłem w nocy.

Stał w chałupce młynarza z generałem Berthier. A że izba dzieliła się piecem i ścianą, tam z jego switą bawiłem do dnia. Rano było wszystko w poruszeniu, nikt mnie nie chciał meldować; zdało się, iż

pan rzucał na wszystkie strony pioruny; rozdroża w tej porze czyniły zły humor. Stałem po kostki w błocie w sionce przed jego pokojem. Wyszedł zasepiony, lecz skoro mnie spostrzegł, z wypogodzoną twarzą zapytał się, co tu robię? — „Przybyłem, — odpowiedziałem, — na rozkaz W. C. Mości.“ Na to on: „To dobrze, trzeba, żebyś waćpan zaraz stąd jechał do Płocka i ten departament uorganizował i jak najlepszego ducha zaszczepił.“ Gdy się skłoniłem, że rozkazu ściśle dopełnię, nim wsiadł na konia, wskazał mi palcem na błota około Narwi i mówił: „*ils sont dans les marais*“, chcąc mówić, że Rosjanie po błotach się rozłożyli. Na tę ze mną łagodną konwersację cała świta zwróciła oczy.

Z wiosną roku 1807 jeździłem zwykle z Płocka do cesarza, który miał swą kwaterę główną w Finkenstein. Wystawiałem mu trudności dostarczania żywności i furazów na tyle wojska z jednego departamentu, ale przedstawienia moje były próżne. Przydał mi tylko, jak prosiłem, żandarmów, którymi zastępiałem obywateli od rabunków. Cesarz, bardzo kontent z moich starań, powiedział: — „Bez Wybickiego nie miałbym co jeść“. Co mi to narobiło zawistnych!...

Pewnego wieczora zastałem cesarza, czytającego dzieło Rulhiera o rewolucjach polskich. Zapytał się, czy mi to dzieło znane? Odpowiedziałem, że tak, bo i o mnie jest w niem wzmianka. „Jakto? W którym tomie?“ „W drugim, Sire“. Na to wziął tom drugi i czytał sam, co tam o mnie jako pośle pruskim napisano, że się tak rosyjskim gwałtom opierałem. Potem z uśmiechem wejrzał na mnie i powiedział: „Wiele waćpan lat wtenczas miałeś, bo ten sejm był roku 1768?“ Odpowiedziałem: „Dwadzieścia jeden“. Na to cesarz:

— „Zawsze więc byłeś gorący patrijota“. „Gdy idzie o to — odpowiedziałem — by służyć ojczyźnie i W. C. Mości, służyć z gorliwością“... Tu się obszerne zaczęły zapytania ze strony jego o rządzie, o osobach, w rządy wchodzących i t. d. Nakoniec zaczął się dziwować, jak mogliśmy tyle rzeczy ku naszej sile uchybić, jak nie umieliśmy korzystać z naszego położenia, dostatku kraju, żeśmy byli bez fortec. Gdy te długie wyrzuty skończył, odpowiedziałem z wszelką przytomnością i żywością: „Prawda to wszystko, co W. C. Mość mówisz, ale pozwól mi odpowiedzieć na naszą obronę, iż przez to z tego wszystkiego, co nam natura dała, nie pożytkowaliśmy i w tym stanie słabości nas znalazłeś, iż takiego, jak W. C. Mość jesteś, monarchy nie mieliśmy!“

Ta odpowiedź, poznałem, że była dobrze od niego przyjęta. Przytomni ks. Murat i Berthier potem mi opowiadali, że ta odpowiedź bardzo była trafna. Cesarz po niejakiem milczeniu obszerne znowu o narodzie naszym czynił mi kwestję, odpowiadałem tak zwykle: że naród jest wielkiego charakteru, wielkiego przywiązania do ojczyzny, wspaniały, że się żadną nie zmazał zbrodnią w rzeczach religijnych i politycznych, że walczył z swymi królami o swoją wolność, ale nie miał Damjanów i t. d.

Wtem cesarz zawołał, aby dano karty. Zacząłem się wynosić. Już u drzwi byłem, gdy cesarz zawołał:

— „Wybicki! Będiesz grał ze mną. Znasz grę „vingt-un?““

Odpowiadam: „Znam, N. Panie“. I wtem zbliżyłem się do marszałka pałacu Duroc, żeby mi dziesięć napoleonów pożyczył.

Cesarz zaczął bank ciągnąć. Wieleby o tem pisać było... Grał książę Murat, książę Berthier, marszałek Bessieres, w. marsz. pałacu Duroc i ja. Rzecz się wszystkim nadzwyczajna zdała, że mnie do gry przypuścił cesarz, cudzoziemca małego znaczenia, czego nigdy nie widziano. Siedziałem właśnie naprzeciw cesarza, odzywał się nawet często do mnie, czy przegrywam? Kiedy się cesarzowi znudziło bank ciągnąć, oddawał karty księciu Murat lub Berthierowi, a wtemczas sam pointerował, lecz tak sypał napoleony i dublował stawki, że wszystkich zupełnie ograł. Raz książę de Berg odezwał się, iż na takie stawianie cesarza wszystko przegra. Na to Napoleon: — „To ci dodam jeszcze jaką wieś do twego księstwa“. Ograni zostali wszyscy i ja pięć napoleonów przegrałem.

Po grze skończonej cesarz z największą dobrocią pytał, gdzie stoję, czy jadłem obiad, bo tu wygodny mało. Odpowiadam, że stoję z księciem Sapichą. Wreszcie mówił mi: — „Rozmów się waćpan jeszcze dziś z księciem Bassano“. Gdy do niego przyszedł, oświadczył mi, że cesarz naznacza mi pensji 6000 franków na rok do śmierci, gdyż względem cudzoziemca wspańiałość jest ograniczona. Oświadczyłem mu, że łaska cesarza jest wielka, ale dla dobrego Polaka słowo pensja jest bardzo nieprzyjemne. Zdał się tem urazić i uczynił mi uwagę, co jest Napoleon, który Polskę ma wskrzesić, i wtem mi dekret: na tę pensję już od cesarza wydany, wręczył. Przyjąć go musiałem, ale pensję tę dopiero za wyraźnym króla saskiego rozkazem odbierać zacząłem“.

ROZMOWY W POZNANIU.

...Przyszła nareszcie wiadomość — opowiada gen. Chłapowski — że cesarz Napoleon przybywa do Poznania. Wymaszerowała zaraz cała nasza gwardja honorowa i miała stanąć za Międzyrzeczem, aby przyjąć go na granicy polskiej. Atoli pod Bytyniem, gdzieśmy pod wieczór stanęli, cesarz nadjechał w nocy i kazano nam go eskortować przed i za karetą.

Ciemna noc była i tylko widać było turban biały na głowie mameluka Rustana, który siedział na kozle karety cesarskiej. Z generałem Dąbrowskim rozmawiał cesarz z karety podczas przepręgu i po kilka razy w drodze, ponieważ po wielkiem błocie tak ciężkim powozem wolno jechać musiano.

Nazajutrz około 10 zrana, w Poznaniu, cesarz siadł na konia, cała gwardja nasza już czekała na podwórzu, czterech z gwardji ruszyło naprzód przed cesarzem, a reszta za nim. Cesarz galopem, prosto przez most,jechał drogą ku Warszawie — po największem błocie, dojechał do Swarzędza, za miasteczkiem skręcał w prawo w pole, wyszukiwał pagórki, na których zatrzymując się, przypatrywał się otwartym polom, jakby armję przed sobą i wokół siebie widział. Wówczas mogłem mu się dobrze przypatrzeć i zdawało mi się, że go już dawno był widział, tak portrety jego były podobne, zwłaszcza te, które go wystawiały na

koniu. Trudno było jednak kolor oczu rozpoznać, tak były ciągle w ruchu; zdawały mi się naówczas ciemne, a to zapewne dlatego, że były głęboko osadzone. Później, często z nim rozmawiając, widziałem, że miał oczy bardzo jasne. Mówiąc, nie patrzył w oczy temu, z kim mówił, ale na dół lub na bok, czasem tylko spojrzał prosto w twarz.

Drugiego dnia Napoleon wyjechał znów konno około południa i kazał się prowadzić, tak żeby zobaczyć pałac polski. Ruszył zaraz za miastem drogą ku Stęszewu galopem i nie stanął aż w Konarzewie.

Ciotka moja w 1804-tym roku bardzo grzecznie w Berlinie przyjęła marszałka Duroc, który przybywszy tam w nadzwyczajnem poselstwie, z oznajmieniem koronacji cesarza, znalazł wszędzie, oprócz domu mojej ciotki, zimne przyjęcie, bo Francuzów w Berlinie nie lubiano, a jeszcze się ich bano. Marszałek Duroc przypomniał sobie moją ciotkę i jej grzeczne przyjęcie, zapewne o tem cesarzowi powiedział i może być, że dlatego, jak przybyliśmy z Owińsk do Poznania, cesarz kazał mnie zawołać i siąść do obiadu obok siebie. Oprócz mnie był tylko Berthier, szef sztabu całej armji, i zajmował miejsce naprzeciw cesarza. Stolik był tak mały, że tylko jeszcze jedna osoba mogłaby się była naprzeciw mnie pomieścić; jeden tylko służący stawiał na stole potrawy.

Obiad nie trwał dłużej, jak pół godziny. Przez te pół godziny cesarz pytał mnie jednak o bardzo wiele rzeczy. Szybko mi naprzód zadawał pytania, jak gdybym mu zdawał egzamin. Wiedział już, bo po drodze był mnie się pytał, że służyłem w wojsku pruskiem, więc dowiadywał się o nauki i o profesorów artylerji,

o jej składzie i ogółem o całą armję pruską, nareszcie zapytał się, ile może być Polaków w korpusie, stojącym jeszcze w Prusach książęcych za Wisłą pod jenerałem L'Estocq. Na to zapytanie odpowiedzi dać nie mogłem, ałem mu powiedział, że w tym korpusie musi być Litwinów najwięcej, ponieważ się w Litwie pruskiej rekrutował, a do Prus należało wtedy, po ostatnim zaborze, całe Augustowskie. Również nadmienilem, że na Litwie tylko dziedzice Polacy, a lud litewski. O Litwie nic nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem się z Polską połączyła. Musiałem mu to opowiadać. Wogóle naszą historję mało znał, a pruską, jak mu się wydawało, tylko od Fryderyka II. Więc go zdziwiło, kiedy powiedziałem, że w korpusie pruskim, stojącym około Królewca, służą nie Polacy, lecz Litwini i Żmudzini, ale że ci, choć po polsku mało mówią, jednak są, jak cała moskiewska Litwa, do Polski przywiązani. O stanie chłopów także się pytał.

Słuchał bardzo cierpliwie odpowiedzi. nareszcie się o żydów zapytał. Myślał, że oni z Azji do nas przybyli. Odrzekłem, że przeciwnie od zachodu wtedy, kiedy ich niemal z całej wypędzono Europy, bo przodkowie nasi zawsze największą mieli dla wszystkich wyznań tolerancję.

Także łaskawie się zapytał o rodziców moich, a dowiedziawszy się, że matka moja była z krakowskiego, pytał się o ten kraj i uniwersytet.

Potem Napoleon wstał od stołu po kawie, pochwalił mnie, że nie pił wina, pokazał na butelkę, że on zawsze pół butelki tego samego Chambertina pije, ale dodał, że to złe przyzwyczajenie. Przechadzając się po pokoju, jeszcze raz o organizacji wojska pruskiego

mówił, znał ją dobrze, tylko się jeszcze pytał o szkoły wojskowe, jak daleko w matematyce dochodzą, dziwił się, że na przecięciach krążkowych kończą. — „A o geometrii wykreslnej czy wiedzą?“ Ja sam naowczas nie wiele wiedziałem, dopiero w Paryżu później ją przeszedłem.

Tegoż samego wieczora, w sali obok pokoju, gdzie był obiad, zebrało się wiele dam, które ze wsi poprzyjeżdżały dla przedstawienia się cesarzowi. Dziwne im czasem zadawał zapytania i sposób mówienia miał urywkowy, znać, że w tej samej chwili, gdzieś indziej myśli jego wędrowały. Do mężczyzn, których zastał gromadę, wystrojonych w pończochach i trzewikach, powiedział, że należy im wziąć buty z ostrogami!“

Zdarzyło się w kilka miesięcy potem — opowiada dalej gen. Chłapowski — że podczas kilku dni feryj pojechałem do Berville za Fontainebleau, aby pokłonić się Kościuszcze. Mieszkał u przyjaciela swego, pana Zetner, Szwajcara, który miał dom w Berville i przy nim folwarczek, na którym nasz zacny naczelnik rolnictwem się trudził. Zostałem go w ubiorze wieśniaka francuskiego, w słomianym kapeluszu, w półfraczku szaraczkowym, miał krótkie spodnie i mocne trzewiki. Zęby wierzchnie już był potracił, co mu wymowę psuło. Był dla mnie łaskaw, opowiadał mi wojny, które odbył, i przypominam sobie, że gdy atak pod Raclawicami na baterję moskiewską mi opisywał, rzucił się, jak gdyby go coś naprzód porwało, gdy wymówił: naprzód wiara i słomiany kapelusz na głowie tak mocno przycisnął, iż go zgniótł zupełnie. Niezawodnie przeniósłszy się pamięcią w ten dzień, tak teraz kapelusz, jak wtedy czapkę krakowską na głowie przycisnął. Powiedział mi

Kościuszkę następnie te dla mnie pamiętne słowa, tyżące się mego położenia przy cesarzu:

-- „Dobrze, że słyszysz i że się uczysz. Ucz się pilnie i gdy będzie wojna, uważaj dobrze na wszystko, przy boku cesarza możesz zbierać sobie wiele wiadomości i doświadczenia. Nagromadzaj ich, ile będziesz mógł, by kiedyś stać się użytecznym naszej nieszczęśliwej ojczyźnie. W dobrej do tego jesteś szkole, ale nie myśl, nie pochlebiaj sobie, żeby on (cesarz) Polskę wskrzesił, on tylko o sobie myśli, żadnej wielkiej narodowości, a tem więcej ducha niepodległości nie cierpi. To jest despota, zaspokojenie ambicji osobistej to jedyne cel jego! On nic trwałego nie stworzy, tego jestem pewien! Ale to wszystko tobie młodemu nie przeszkadza, żebyś przy nim nabrał doświadczenia, uczył się strategji. Znakomity on wódz, a chociaż on naszej ojczyzny nie wskrzesi, to oficerów nam może wykształcić wielu, a bez takowych źleby było, choćby Bóg zesłał nam później szczęśliwe okoliczności. Powtarzam: Ucz się pilnie, ale on nic dla nas nie zrobi!“

* * *

W Poznaniu przyjął Napoleon deputację z Warszawy. Uczestnik tego posłuchania, Feliks Łubieński, tak opisuje przebieg audjencji:

„W pierwszym salonie zastaliśmy wielu generałów i marszałka dworu, który nas bardzo grzecznie przyjął i oświadczył, że zamelduje nas Cesarzowi. Czekaliśmy kilka minut z generałami, wszystkich oczy zwracały się najwięcej na Rzątkowskiego, ubranego w suknie polskie, z ogoloną głową. Wróciwszy, wezwał marszałek deputację. Posunąłem się, chcąc drzwi otworzyć, ale bardzo grzecznie powiedział: *C'est le devoir*

de ma charge. Odstąpiłem natychmiast i puściłem przed sobą Gutakowskiego, za mną postępował Gorzeński, po nim Potocki, Łuszczewski, Rzątkowski. Rozumieliśmy, że tam Cesarz będzie; atoli nie było w salonie nikogo prócz Talleyranda, ministra spraw zagranicznych. Zamieniliśmy ukłony, powiedział, że Cesarz czeka nas w gabinecie. Posunąłem się znowu z myślą otwarcia drzwi, ale Talleyrand, postępujący powoli z powodu sparaliżowanej nogi, rzekł: *C'est à moi de vous introduire*. Otworzył tedy i rzekł: *Entrez, Messieurs*. Tymże weszliśmy porządkiem, a za nami minister spraw zagranicznych sam tylko z Francuzów; po potrójnym ukłonie, po każdym czyniąc po kilka kroków, zbliżył się do Cesarza.

Stał Napoleon w pośrodku ściany, okolonej przynajmniej czterdziestu chorągwiami, zabranami Prusakom. Trofeum ładne i wspaniałe, ale z prostotą, bez żadnych bogactw ustrojone. Żaden z generałów, których widzieliśmy przed chwilą, nie był tak skromnie ubrany. Tabakierkę miał w rękę, którą często otwierał. Skłonił z łaskawym uśmiechem głowę.

Gutakowski, staruszek, jak mógł, powiedział mowę; nie poddawałem mu, żeby nie zwiększać jego zamieszania. Cesarz, widząc utrudzenie Gutakowskiego, nieco przed końcem przerwał, i obracając się do mnie, rzekł:

— „Wszak jesteście, panowie, warszawiakami?“

Odpowiedziałem:

— „Jesteśmy Polacy i przybywamy z wyrazem hołdu.“

Na to cesarz, jakby nie słysząc, powtarza:

— „Tak, jesteście, panowie, warszawiakami.“

Wyznając, że zniknęły wtedy natychmiast marzenia,

jakie mogłem tworzyć względem przywrócenia Polski. Uważałem z nacisku, z jakim powiedział to po raz trzeci, że nie chciał wymówić słowa „Polska“, jak mi potem mówiono, dlatego ażeby nie ściągnąć przeciw sobie Austriaków, gdyby nas, jako od Polski przysłanych, przyjmował, i cofnąłem się ze trzy kroki. Gdyby rzecz ode mnie samego zależała, byłbym z najgłębszym uszanowaniem ukłonił się i wyszedł, skoro nie mamy być uważani jako od kraju wysłani, ale tylko od miasta. Widziałem po Talleyrandzie, który trzy kroki stał za mną, że zrozumiał, co znaczyło moje cofnięcie i posunął się bliżej ku mnie, może z myślą zatrzymania. Cesarz tymczasem mówił o rzeczach mniejszej wagi, zapytywał, czy spokojnie przejechaliśmy, czy wojsk nieprzyjacielskich niema, czy księżę Bergu w Warszawie, czy Rosjanie są jeszcze w kraju? Tak mówiąc, przybliżył się do mnie. Gdy mu na żadne z powyższych pytań nie odpowiedziałem, rzekł, wskazując na Rzątkowskiego: „Czy to senator?“ Odrzekłem: „To szlachcic polski, tak jak i my“. Ale on powtórzył: „A więc to senator!“ Nic dziwuję się, umysł jego był uderzony podobieństwem stroju do ubioru Radziwińskiego, wojewody gnieźnieńskiego, który mu się prezentował w deputacji z Poznańskiego.“

Następnie czynił Napoleon kilka zapytań, mianowicie względem dróg, przepraw, magazynów, oraz gotowości Polaków do boju, poczem pożegnał skinieniem głowy. Talleyrand, pełen uprzejmości, odprowadził deputowanych i żegnając się we drzwiach, rzekł: „Cesarz kazał mi oświadczyć, że będziecie u niego na obiedzie o piątej wieczorem.“

Skoro o oznaczonej godzinie stawili się deputo-

wani na pokojach cesarskich, zastali już zgromadzonych marszałków i dygnitarzy. Pomimo zbliżającej się pory obiadowej nieustannie uwijali się urzędnicy z raportami. Nie odstępował Cesarza ksiązę Bassano razem z czterema sekretarzami. Kiedy podano do stołu, ukazał się niebawem Napoleon, pogrążony w zamyśleniu; ale rozjaśniło się oblicze, gdy powiódł okiem po sali. Nawet przy obiedzie nie zażywał wypoczynku, lecz wydawał różne polecenia generałom, którzy natychmiast wstawali od stołu. Wspaniała była zastawa, wielka ilość potraw i wina; ale wszystko odbywało się z pośpiechem, jak w obozie. Potrawy podawano jedne za drugimi jak pocztą; kto nie chciał być głodny, musiał uwijać się z jedzeniem.“

A PRZECIEŻ TO ON!..

Księżna Helena Radziwiłłowa, ostatnia wojewodzina wileńska, głośna nieomal w całej Europie sawantka, grande-dama, śpiewaczka i przyjaciółka filozofów, których podejmowała w swym cudownym pałacyku z bajki w Nieborowie, była zapaloną wielbicielką Napoleona i chciała, jak wszystkie panie, ujrzeć go chociażby raz w życiu! Jakkolwiek 9 szwadronów kawalerji francuskiej zmienia jej Nieborów w pustynię, księżna cieszy się, bo właśnie gwardja cesarska zbliża się do Polski i już, już ma wkroczyć w granice książeńcych włości. Wieści mówiły, że sam Cesarz na czele wojsk zdąży do Polski, niosąc jej wybawienie, że postępuje nadzwyczajnie szybko i lada dzień przekroczy granice.



JENERAL FISCHER

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

Zdarzyło się, iż stary generał Jumilhac bawił wtedy u księżnej Heleny w Arkadii. Był to jej dawny i dobry znajomy. Generał opowiadał wojewodzinie z zapałem o tym wojowniku genialnym, posuwającym się lotem orłów, o wielkiej odwadze i awanturniczości bohatera, który częstokroć, niepoznany od wroga, własne poprzedza wojska. Dodał wkońcu, że odkiedy nagle opuścił Drezno, nikt dokładnie nie wie, gdzie się znajduje, a jeno wiadomo napewne, że granicę Polski przejść musiał.

W chwili prawie, kiedy tego generał dowodzi, wybitna jakowaś osobistość, podróżująca *incognito* po świecie, przyjeżdża chłopską furą do Arkadii.

„Wystawcie sobie — opowiadała księżna — zdumienie Jumilhaca, gdy poznał człowieka ubranego w „*redingote grise*“, a więc ulubiony strój Napoleona... Jakto? A więc marzenia spełnione, Napoleon w Arkadii? Stary generał, który cesarza znał osobiście doskonale, poznaje go odrazu. Tak, ten tajemniczy podróżny to cesarz. Gdyby nie pewność generała nikt w Arkadii nie uwierzyłby podobnemu zbiegowi okoliczności. A jednak było to zupełnie prawdopodobne, skoro droga, którą szły wojska, prowadziła na Łowicz, a Łowicz od Arkadii tak blisko!...

Widoczne było, że tajemniczy podróżny w wytartym oficerskim mundurze poznany być nie chciał. Lecz daremnie, wszystko w nim zdradzało Napoleona.

Udany był ton uległej mowy; poznać było łatwo tego, co zwykł rozkazywać.

Księżna była w ósmem niebie.

Spotkanie się i rozmowa pani Arkadyjskiej z tajemniczym nieznanym zaczęła się od zwykłych po-

chwał o pięknym ogrodzie. Oficer wraz z towarzyszem swoim szedł naprzód, generał Jumilhac i księżna postępowali nieco ztyłu, z największem uszanowaniem. Po dłuższej rozmowie w ogrodzie wojewodzina zaprasza podróżnych na obiad. Cesarz długo się waha, narreszcie odmawia z zażenowaniem, tłumacząc, że strój podróżny nie pozwala mu na zaszczyt przyjęcia zaproszenia księżnej. — Zaproszenie ponowione, podróżny ulega. W czasie obiadu cesarz tak dalece zachowywał swe incognito, że przed generałem usiąść nie chciał; mimo to oddano mu wszelkie należne honory. Rozmowa przy stole toczy się o familji Radziwiłłów. Oficer wychwala ks. Michała, mówi o ks. Antonim, tak popularnym w Berlinie. Korzystając ze sposobności, zwraca księżna uwagę podróżnego na niekarność i rozboje Wirtemberczyków w Polsce. Rekwizycje ich i zachowanie się może wiele szkodzić opinji o Francuzach. Po obiedzie księżna chciała cesarzowi dać do zrozumienia, że go poznała, lecz ten udaje, że nie domyśla się niczego!... Zaczęto więc mówić o polityce. Ks. Helena ze zwykłą sobie swobodą wyznaje gościowi, że, chociaż syn jej rodzony służył przeciw Rosji i choć kraj swój szczerze kochał, dziwnym kaprysem serca lgnęła zawsze do tych cesarzów rosyjskich, których trzy pokolenia znała, a którzy ją zawsze darzyli przyjaźnią.

Przyniesiono z biblioteki karty wojen Napoleońskich. Z przyjemnością ogląda je cudzoziemiec, rozpoznając swe dawne śród marszów noclegi. Opowiada nawet księżnie, że ma w tyle głowy wypukłość, uważaną przez doktorów za objaw skłonności do wojny, i że w rzeczy samej najmilszą z muzyk jest dlań melodia armat.

— „A ja właśnie miałam nadzieję, — odparła księżna — że mi pan zaśpiewa: „*il Buono Cani!*“

Tajemniczy nieznajomy roześmiał się.

Coraz trudniej księżnie wytrzymać w tej sytuacji i przywyknąć do nazywania cesarza inaczej, jak przystawało. Na dziedzińcu pałacu nieborowskiego mieścił się w klatce olbrzymi orzeł. Księżna podchodzi z gościem ku klatce. Gość tajemniczy zaczyna dziwnie mówić o podobieństwie jego oka z okiem ptaka. Pani zadrżała. I nuże zapewniać cesarza, że to nic dziwnego, skoro sam jest orłem. Po tych słowach podróżny zamyslił się i prosił wojewodzinę o pozwolenie powierzenia jej pewnej tajemnicy. Księżna uznała chwilę za najodpowiedniejszą do powiedzenia prawdy. Odpowiedziała z bijącym sercem, że wie, kogo ma zaszczyt gościć u siebie i prosi, by zakończyć mistyfikację, którą znosi od dwudziestu czterech godzin.

Nieznajomy roześmiał się po raz wtóry, zapewniając, że nie jest naprawdę niczem innym, jak kapitanem wojsk francuskich i nazywa się Achilles de Touches. Na wszystko zaklina księżną, aby nie dała się dłużej ludzi nadzwyczajnemu podobieństwu, które w rzeczy samej tak go do cesarza podobnym czyni, że wszędzie go biorą za niego.

— „Podobieństwo moje do Napoleona — mówił dalej kapitan — wyrządza mi nieraz niespodziane figle. W Lipsku np. tłumy szły za mną, wołając: niech żyje cesarz! W Berlinie obudzałem ogólne zdziwienie, które i ks. Antoni Radziwiłł podzielał. Niech księżna mi wierzy, nie jestem wcale Napoleonem!“

Tymczasem zajechał powóz, mający mniemanego cesarza odwieźć do Warszawy. Ale księżna, zanadto

szczęśliwa z myśli, że gościła u siebie mocarza Europy, z którego dłoni wypłynąć miała niczem już nie zachwiana wolność narodu, wyjaśnieniu podróznego ani przez chwilę wierzyć nie chce. Co więcej, wzięwszy do rąk gałąź laurową, wręczyła ją odjeżdżającemu, zaklinając go, aby zanadto krwi polskiej nie przelewał, aby nie wycieńczał zniszczonego już kraju, poczem powierzyła mu z płaczem los ojczyzny i przyszłość dzieci! Achilles de Touches opuścił Arkadję.

Wszyscy już byli przeświadczeni o zabawnej omyłce, generał Jumilhac przekonał się, że padli ofiarą pomyłki, ale księżna ciągle jeszcze wierzyć nie chciała. Bo przecież to ON był gościem Arkadji! Nawet kiedy gazety i listy doniosły, że Napoleon w tym właśnie dniu wkraczał do Poznania, księżna twierdziła z uporem, że to omyłka w datach. Wszyscy się mylą; ona jedna wie i czuje, że cesarz był w Nieborowie!...

A do tych, którzy jej błąd udowodnić chcieli, pisała w te słowa: „Nie, nie! Nikt mi tego z głowy nie wybije, nie wierzę waszym dziennikom! Obiecuję sobie całe góry cudów! Wierzę raczej w pomyłkę dat. Ostatecznie można sobie wytłumaczyć podobieństwo postaci, ale przenigdy umysłu, erudycji i znalezienia się!“

O zabawnem *qui pro quo* zaczęto mówić w Warszawie, i wreszcie księżna Helena, srodze zawiedziona, dała za wygraną i sama z siebie śmiać się zaczęła! A rzecz całą opisała z humorem w liście z wrodzoną sobie werwą i umiejętnością malowniczych opisów. W kilka dni potem z tej romansowej przygody, upięk-szonej przez księżnę w najzabawniejsze epizody, śmiano się do łez w Berlinie, gdzie już poprzednio wędrujący Achilles de Touches niejednego oszukał.

CESARZ I FRANCUZI W WARSZAWIE.

...Długo oczekiwani — opowiada Fr. Skarbek — Francuzi stanęli w Warszawie. A podobnie jak wszelkie dobro spodziewane większe jest od tego, jakim nas rzeczywistość obdarza, tak i oni, zbawcy, w postaci aniołów oczekiwani, przy bliższem poznaniu rozwijali przyimoty, nie zawsze niebianom właściwe. Póki Murat z dowodzoną przez siebie jazdą zajmował Warszawę i słodkie słowa damom na balach i zebraniach towarzyskich prawić, póty wydawali się jeszcze Francuzi owymi z grzeczności słynącymi ludźmi, których uprzejmość i ton salonowy był wzorem dla eleganckich towarzystw wszystkich krajów. Lecz gdy nadciągające jedne za drugimi oddziały różnej broni tak dalece wypełniły Warszawę, że ich po wszystkich domach prywatnych i nawet u lokatorów kwatrować musiano, gdy niejeden oficer, zamiast uprzejmej grzeczności, prostactwo z sobą wniósł do kwatery i wymaganiem swoim spokojność domową zakłócił, gdy nadewszystko zdarzyło się, iż przytem uchybił kobiecie, że się poważał naznaczyć dla siebie kwaterę w pokojach, z których gospodynię domu wyrugował — natenczas znikł urok niebiaństwa, którym bujna wyobraźnia otaczała przybyszów.

Zaczęto nabierać przekonania, że żołnierz w pochodzie wojennym więcej do piekielnych istot niż do aniołów jest zbliżony. Porównanie to było i tem usprawiedliwione, że powierzchowność i postawa licznych oddziałów, które następnie zajmowały Warszawę, a mianowicie też linjowej piechoty, nie odpowiadały bynajmniej, pięknej i zajmującej postawie pierwszych oddziałów jazdy Murata. Proszę sobie wyobrazić masy niskich ludzi, w małych, rogatych kapeluszach, z łyżką blaszaną, nad kokardą zatknietą, w różnokolorowych, a najczęściej szarych, podartych płaszczach, w złem obuwiu, bez należytego szyku, w ciągłym gwarze, a raczej szemraniu postępujących, a następnie tych niepozornych, a zniechęconych żołnierzy, przychodzących na kwatery do ludzi, którzy ich języka nie rozumieli, klnących tem mocniej, im mniej odgadnąć można było, czego żądali, i biorących to, czego uprosić nie umieli, — a łatwo będzie pojąć, że ci żołnierze nie odpowiadali wyobrażeniu, jakie miano w Warszawie o przyjemnych i uprzejmych Francuzach i że nie sposób było widzieć w nich nauczycieli dobrego tonu i grzeczności towarzyskiej.

Mieszkańcy Warszawy, a mianowicie też damy towarzystwa, byli zupełnie zawiedzeni w oczekiwaniu swoim. Ci, którzy za pierwszym okazaniem się Francuzów z takim uniesieniem ich witali i serdeczną gościnnością przyjmowali, truchleli w kilka dni potem na każde okazanie się nowych gości. Do tego przykrego wrażenia przyczyniały się niemało wiadomości o przyjęciu deputacji polskiej w Berlinie przez Napoléona i wszyscy powtarzali sobie z ciężkim żalem te słowa, przez niego wyrzeczone: „Zobaczę, czy Polacy są godni być narodem“.

Pomimo to wszystko oczekiwano z wielkiem upragnieniem i z większą jeszcze ciekawością przybycia Napoleona do Warszawy. Czyniono przygotowania na jego przyjęcie i marzono o uroczystościach, jakie przybyciu jego towarzyszyć będą. Rozumiano bowiem, że kiedy szwagier i namiestnik jego odbywał świetny wjazd do miasta, to cesarz niewątpliwie z większą jeszcze okazałością objawić się zechce. Pośpieszono ze wzniesieniem łuków triumfalnych, przygotowano iluminację, ułożono napisy rymowane, upleciono wience. Wszystkie te przygotowania okazały się zbyteczne; gdy jednego wieczora cała ludność Warszawy udała się na spacer z tem przekonaniem, że nazajutrz rano trzeba będzie wczesnie zająć stanowisko przy rogatkach Wolskich, rozeszła się tegoż poranka wiadomość po całym mieście, że Napoleon już jest w Warszawie. W nocy, o czwartej rano, przyjechał konno w towarzystwie dwóch adjutantów do miasta na lichej szkapie, którą kazał sobie podać na ostatniej stacji.

Łatwo można sobie wyobrazić popłoch, jaki wywołało to zdarzenie w zamku, gdzie wszystko było zagrożone w głębokim śnie. Cesarz sam poszedł na odwach, by zbudzić wartę, która dała znak umówiony. Zamieszanie było tem większe, że naprawy, jakie należało przedsięwziąć w zamku, niezamieszkanym od wielu lat, nie były jeszcze skończone. Na szczęście, apartament ostatniego króla był nietknięty i zdawał się oczekiwać tego nowego gościa.

Tłumy ludu obległy zamek, pilnując nieodstępnie chwili, w której się Napoleon okaże, i wytrwały w tem oczekiwaniu do godziny 3-ciej, w której ujrzano cesarza nagle, wyjeżdżającego na siwym koniu kłusem z zamku

i udającego się wprost do Wisły ulicą Bednarską. do miejsca, gdzie stał most spalony. Pospólstwo ujrzało niskiego człowieka w popielatym surducie, szybko na koniu przejeżdżającego, a poważni obywatele, przyjęci wieczorem na zamku, doznali zimnego traktowania i zamiast przyrzeczeń otrzymali napomnienie za niedosyć skwapliwie zajęcie się opatrzeniem wszystkich potrzeb wojska, tak nagle i w tak wielkich masach kraj zajmującego!“ Tyle wspomnień Fr. Skarbka.

Doznaję jeszcze pewnego wzruszenia — słowa pani Potockiej — na wspomnienie niecierpliwości, z jaką oczekiwaliśmy tych, co mieli być przyjęci na zamku. Mój teść znajdował się na czele urzędowej deputacji. Powrócił o dziesiątej wieczorem — mniej zachwycony, a bardziej zdziwiony. Napoleon rozmawiał z tą szybkością i rozwlekłością, która u niego oznaczała jakieś nerwowe podniecenie. Mówił dużo, nie powiedziawszy jednak nic ośmielającego. Przypuszczam nawet, że po namyśle byłby chętnie cofnął rozmaite zdania, które mu się wymknęły.

Rozszerzywszy się nad tem, czego dokonał właśnie w Prusach, wyliczając drobiazgowo pobudki, jakie go skłoniły do tej wojny, rozwiódł się nad wielkimi trudnościami, które należało przewyciężyć, aby tak liczna armja mogła posuwać się i zapewnić sobie żywność.

— Ale — rzucił — koniec końców mniejsza o to! — A kładąc ręce w kieszenie, dodał:

— Mam przecie Francuzów!... Panując nad ich wyobraźnią, zrobię z nich, co zechcę!...

Jakieś milczące zdziwienie malowało się na twarzy wszystkich, co go słuchali.

Po chwili dodał:

— Tak... to tak... jak wam mówię!...

A biorąc szczyptę tabaki w chwili odpoczynku, zaczął znów mówić bardzo żywo; zrobił gwałtowną wycieczkę przeciwko polskim magnatom, którzy, według jego zdania, nie okazywali dosyć gorliwości i patriotyzmu.

— Potrzeba — zawołał — poświęcenia, ofiar, krwi! Bez tego nic z was nie będzie.

Ale wśród tego potoku słów nie wyrwało mu się ani jedno, coby mogło uchodzić za obietnicę. Dlatego też najtrzeźwiejsi wrócili z tej audjencji niezbyt zadowoleni, ale zdecydowani robić wszystko, co nakazywał im honor i miłość ojczyzny.

Dowcipna odpowiedź udała się (wedle zapiski Dembowskiego) członkowi deputacji, Kochanowskiemu. Gdy Napoleon mówił:

— Cóż to jest? — Francuski garnizon w Warszawie częstujecie, rozpajacie, przyzwyczajacie go do zbyt-ków, a w magazynach po drodze pustki i żołnierze na linii bojowej mrą z głodu. Tańcujecie tylko i balujecie, a o tem, co należy, nie myślicie!...

Zauważył na to Kochanowski, że wszystkiego, czego dotąd żądano, — dostarczono, a co żądane będzie — dostarczyć się także.

Napoleon wyjął z kieszeni złożony papier, a oddając go Kochanowskiemu, rzekł:

— Oto wykaz potrzeb, które jeśli we dwadzieścia cztery godzin nie będą odstawione na miejsca wskazane, będziesz waszmość rozstrzelany.

To mówiąc, dobył tabakierki, otworzył ją i sięgnął po niuch tabaki. Kochanowski lubił także zażywać,

a widząc otwartą tabakierkę, sięgnął do niej machinalnie i z zimną krwią zażył.

Napoleon się rozśmiał.

— *Voilà un singulier diable d'homme* — rzekł cesarz — *je lui dis, que je le ferai fusiller en 24 heures et il me prend une prise en guise des remerciements.*

Kochanowski tymczasem podany wykaz przejrzał i pokręciwszy głową, oświadczył, że w 24 godzin tego spełnić nie może, ale że w trzy dni wszystko będzie dostawione.

— *Eh bien, soit* — odpowiedział Napoleon krótko i deputację pożegnał.

Po pięciodniowym pobycie, opuścił Napoleon Warszawę i udał się za wojskiem, na drugą stronę Wisły przeprowionem, zostawując po sobie zawiedzione oczekiwanie w upominku. Obywatele krajowi nie dowiedzieli się niczego o dalszych zamiarach jego i nie usłyszeli ani jednego pocieszającego wyrazu; damy z towarzystwa warszawskiego nie były przedstawiane cesarzowi i tylko go widziały na ulicach, gdy konno przejeżdżał lub gdy przegląd wojska odbywał. A odbył jeden taki przegląd na Krakowskiem Przedmieściu i w ogrodzie Saskim. Przybrała wówczas Warszawa postać placu broni, w którym o niczem innem nie mówiono, jak o wojnie, gdzie nic innego nie widziano, jak wchodzących, kwaterujących się, wychodzących żołnierzy; gdzie zamiast eleganckich ekwipażów, armaty i furgony uwijały się po ulicach. A było zawsze pełno ludzi i zgiełku, pomimo że się miejscowa ludność w domowem zaciszu ukrywała. Opustoszone niedawno gmachy były teraz zajęte nie na zakłady przemysłowe lub gościnne, lecz na koszary, na magazyny i lazarety.

Kto, pomnąc na to, czem była Warszawa przed miesiącem, przechadzał się wówczas po mieście, temu mogło się zdawać, że jest na wielkiej maskaradzie; bo pełno spotykał nieznanomych figur lub znajomych w zupełnie odmiennej postaci i poniekąd poprzebieranych. Napoleon żądał wystawienia wojska, więc wszystko wchodziło w nowo kształtujące się szeregi; ale z początku każdy, jak mógł i jak chciał, to jest przybrani krojem i kolorem albo oddziału wojska, do którego miał zamiar się zaciągnąć, i uzbrojony w broń, jaką po przodkach odziedziczone skarbcze rodzinne posiadały. Dlatego można było widzieć na ulicach czerwonych, niebieskich i żółtych żołnierzy z czarnymi, białymi i czerwonymi wyłogami, słowem — najrozmaitszą mieszanicę kolorów w pojedynczych osobach. Do tych ochotników dodać należało wkrótce żołnierzy, wybranych z wsi w stosunku do ilości dymów, których panowie swoim kosztem ubrać, uzbroić i w konie opatrzeć musieli i przytem albo sami siadać na koń lub synów swoich za siebie wyprawiać, albo też najętych zastępców dawać. Nawet kobiety, właścicielki dóbr, nie były wyłączone od tej osobistej usługi; i lubo to była pora do objawienia rycerskiego ducia średnich wieków, nie zdarzyły się wszakże przykłady takiego poświęcenia; i wdowy — jakkolwiek ładne i młode — musiały nająć zastępców do stawania w szeregach w ich imieniu...

W ogólności wszystkie damy warszawskiego towarzystwa nie były rade przemianie, która w pozyciu zaszła, bo utraciły całą młodzież, która im hołdy składała, a nie nabyły między nowymi gośćmi takich nowych czcicieli, którychby hołdy za godne przyjęcia

i trwałe poczytać można było. Ustały zebrania i zabawy, a natomiast nastąpiły we wszystkich salonach modnych grube roboty, szycia bielizny i skubania szarpi dla chorych i rannych. Gazety donosiły codziennie publiczności, ile która z dam koszul uszyła lub funtów szarpi uskubała.

Ulubiona zabawa eleganckiego świata, teatr francuski, nie był już tyle uczęszczany przez damy, bo tracił owe znamiona dobrego tonu i towarzyskiej przyzwoitości, któremi się odznaczała dawniej publiczność tego teatru. Upragnieni zabaw wojownicy francuscy uczęszczali tłumnie na widowiska w ich języku. Parter był zawsze napełniony oficerami, a paradys żołnierzami, którzy w antraktach głośno prowadzili rozmowy z jednego końca na drugi, czyniąc mniej więcej nieprzyzwoite uwagi nad kobietami w łóżach, tak dalece, że te nie śmiały wystawiać się na ich gminne dowcipkowania.

W pierwszych dniach stycznia wrócił Napoleon do Warszawy.

Rozłożenie wojsk na zimowe leże zapowiedziało dłuższy jego pobyt w tem mieście. Jakoż wkrótce posłyszano o urządzonym dworze monarszym w zamku, o mianowanych mistrzach ceremonji, szambelanach i paziach i o nastąpić mającem otworzeniu pokoi monarszych. Zapomniały damy o doznawanych dolegliwościach wśród stanu wojennego, skoro tylko posłyszały, że Napoleon nietylko żądał, aby mu były przedstawione na pokojach, lecz nawet zapowiedział, że je będzie przyjmował co tydzień na zebraniach dworskich.

Od dnia prezentacji bywały dwa razy na tydzień, to jest w poniedziałek i w piątek, wieczorne

zebrania w zamku, na których Napoleon bardzo uprzejmie damy przyjmował, tak dalece, że się wkrótce wszystkie z nim pojednały i o miłe słowo z ust jego ubiegały. Wieczory te zaczynały się od zajęcia stolików gry, na których grano bez pieniędzy i tylko dla formy. Następnie przechodził Napoleon z całym towarzystwem do okrągłej sali, zajmował krzesło przed oknem wśród wielkiego półkola dam, za którymi mężczyźni się uszykowali, wszyscy dla przysłuchania się śpiewom Paëra i jego małżonki, śpiewaków włoskich, których cesarz poniekąd do swojego sztabu przyłączył. Po krótkim koncercie następowała wieczerza, do której tylko damy zasiadały, a cesarz, jego szwagrowie i marszałkowie francuscy przechodzili się między nimi, prowadząc uprzejme rozmowy z temi, których wdziękami więcej byli zajęci.

Prócz tych wieczorów dworskich było jeszcze tej zimy kilka balów, przez księżąt Bergu i Borghèse i przez Talleyranda dawanych. Pani Anna Potocka tak opisuje bytność swą na pierwszym balu:

„Przybyliśmy do zamku około dziesiątej wieczorem. Trzeba było przejść koło całej armji złożonej i szamcrowanej, tworzącej szereg, aby przyjrzeć się przechodzącym damom. Szłam za moją świekrą, spoglądając na prawo i na lewo, aby osądzić wrażenie, jakie wywierał mój strój na sędziach kompetentnych i surowych. Przyznaję, że byłam zachwycona, gdy wśród pochlebnego szmeru usłyszałam następujące zdanie całkiem francuskie: „Ach, jakież to oryginalne!... Jakby piękny portret, wyjęty ze starych ram. W Paryżu nie widzi się nic podobnego!“

Kazano nam wejść do wspaniałej sali, gdzie się znajdowały obrazy historyczne, przewiezione później do Moskwy na rozkaz cesarza Mikołaja I. Sala ta była oświetlona *a giorno*. Było już wiele pań, stojących jedna obok drugiej, a ponieważ nie okazano się trudnym w wyborze, zgromadzenie było bardzo liczne.

Czekałyśmy dość długo i trzeba przyznać, że ciekawość nasza nie była wolna od niejakiej obawy. Nagle milczenie zostało przerwane niespodzianym szmerem, podwoje otwarły się z hałasem i wszedł Talleyrand, wymawiając podniesionym i dobitnym głosem to magiczne słowo, na które drżał świat: Cesarz! Zaraz potem ukazał się Napoleon i zatrzymał się, jakby się dając oglądać. Moja teściowa znajdowała się koło drzwi, przez które wszedł cesarz; zwrócił się on najprzód do niej i wyrażał się o jej mężu bardzo pochlebnie. Potem przyszła kolej na mnie. Nie potrafiłabym powtórzyć tego, co mi powiedział, tak byłam zmieszana. Było to prawdopodobnie jedno z tych zdań powszednich, które się mówi wszystkim młodym kobietom. Odpowiedziałam zapewne dość niezgrabnie, gdyż popatrzył na mnie z jakimś zdziwieniem, co mię zmieszało jeszcze bardziej i zatarło w pamięci mej wszystko prócz uprzejmego i łagodnego uśmiechu, z jakim wymawiał parę słów, do mnie zwróconych. Uśmiech ten, który zwykle przybierał, mówiąc do kobiety, odejmuwał jego twarzy całą tę surowość, jaką jej nadawać mogło jego spojrzenie.

W ten sposób bardzo szybko obszedł wkoło salon. Wiele z pań próbowało mówić z nim o nadziejach, jakie zrodziła jego obecność; ale on odpowiadał monosylabami na te porywy partrjotyczne, niezbyt odpo-

wiednie przy prezentacji, i załatwił się z nami w nie całe pół godziny. Poszedłszy do drzwi, przez które wszedł, rzekł dość głośno do Talleyranda:

— Ileż tu pięknych kobiet!

A potem, obróciwszy się raz jeszcze, złożył nam ręką uprzejmy ukłon i wszedł do swych apartamentów.

Na balu u Talleyranda cesarz tańczył kontredansa, który posłużył za pozór zbliżenia się z panią Walewską.

— Jakże pani uważa mój taniec? — rzekł do mnie — Myślę, że się pani ze mnie śmiała.

— Doprawdy, Najjaśniejszy Panie — odparłam — jak na wielkiego człowieka, tańczysz doskonale.

Chwilę przedtem Napoleon siadł pomiędzy mną a przyszłą faworytą. Pomówiwszy przez parę minut, zapytał się, kto jest jego sąsiadka z drugiej strony. Kiedy wymieniłam jej nazwisko, zwrócił się do niej z miną człowieka jak najlepiej poinformowanego.

Dowiedzieliśmy się potem, że Talleyrand posunął swoje grzeczności aż do urządzenia tego pierwszego spotkania i usunięcia przedwstępnych przeszkód. Ponieważ Napoleon wyraził życzenie zaliczenia do liczby swoich podbojów Polki, wybrano taką, jakiej mu było potrzeba, piękną z twarzy, a marną umysłowo. Twierdzono, jakoby po kontredansie cesarz uścisnął ją za rękę, co, jak powiadano, równało się schadzce.

Rzeczywiście miała ona miejsce nazajutrz wieczorem. Mówiono, że jakiś wielki dygnitarz był posłany po tę piękność. Mówiono o nagłym i niezasłużonym awansie brata, nicponia, o garniturze brylantowym, którego, jak zapewniano, nie przyjęto. Mówiono wiele rzeczy, o jakich, być może, nie wiedziano i jakie zmy-

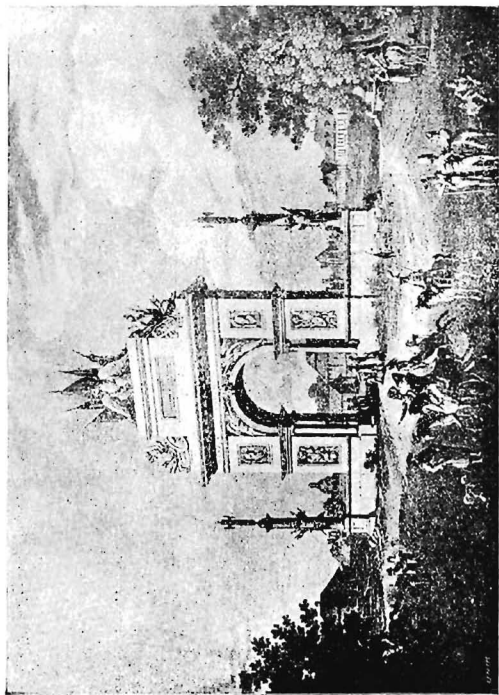
ślano dowoli. Przypuszczano nawet, że Roustam, mameluk, służył za pokojówkę!... Bo czegoż nie mówi się w takich razach? To było pewne, że my wszystkie byłyśmy zrozpaczone, iż osoba, przyjmowana w towarzystwie, okazała tyle łatwości i równie słabo się broniła, jak forteca Ulmska.

Ale czas, który wszystkiemu nadaje barwę, położył na tym związku, tak lekko zawartym, cechę stałości i bezinteresowności, co zatarło poczęści nieprawidłowość powstania, a wkońcu postawiło panią Walewską w liczbie najbardziej zajmujących osób tej epoki.

Cudownie piękna, była jakby uosobieniem postaci Greuze'a; jej oczy, usta, zęby były zachwycające. Śmiech jej był tak świeży, spojrzenie tak łagodne, wszystko razem w jej twarzy tak ponętne, że nigdy nie myślano o tem, coby mogło brakować klasyczności jej rysów.

Zaślubiona w siedemnastym roku życia ośmdziesięcioletniemu starcowi, którego nigdy nie widywano, zajmowała w świecie stanowisko młodej wdówki. Jej wielka młodość, połączona z tak wygodnem położeniem, dawały powód wielu gadaninom. A jeżeli Napoleon był ostatnim z jej kochanków, utrzymywano, że nie był pierwszym“.

O słynnych rozmowach Napoleona z paniami krążyło wiele mniej i więcej prawdziwych anegdot. „Na koncercie, danym na pokojach w zamku, znajdowała się wówczas pani N. Jej szlachetne rysy, płeć biała jak alabaster i prześlicznego karminu policzki zajęły były cesarza. W chwili, dobrze upatrzonej, zbliżywszy się do niej, usiadł obok, a wpatrując się w bukiet, wpięty



BRAMA TRIUMFALNA

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

w jej włosy, z którego spadająca gałązka pięła się na jej łabędziej szyi:

— „*Madame*“ — powiedział — „*les roses de votre coiffure ne sont guère blanches*“.

— „*Sire!*“ — wyjęknęła przerażona zagadniona...

— „*Sans doute, si on les compare à la blancheur de votre cou*“.

Na balu u Murata cesarz tańczył z panią Walewską, naprzeciw niego Berthier z nadobną Bronikowską, co tylko z Paryża do Warszawy przybyła; królewicz bawarski tańczył z panną Ewą Kicką, Murat z panią Cichocką.

„Wiesz pani — rzekł cesarz w chwili odpoczynku do tanecznicy swojej — dlaczego w tańcu zawsze Berthiera naprzeciw siebie stawiam? Czynię to przez kokieterję: on tańczy jak niedźwiedź, a ja tym sposobem cokolwiek lepiej od niego się wydaję“.

Gdy kontredansa skończono, Napoleon, przybliżwszy się do grona mężczyzn, pomiędzy którymi znajdowało się kilkunastu Polaków, zapytał: „Powiedzcie mi, panowie, jaki był początek waszego poloneza?“

— „Polonez — odpowiedział Stanisław Potocki — bierze swój początek od czasów Henryka Walezjusza. Gdy ten monarcha, wracając do Francji, zatrzymał się w Wenecji, wymyślono dla niego taniec, polonezem przezwany, aby towarzystwo całe, idące parami, mógł poznać. Od owego czasu taniec ten wprowadzono do naszego kraju“.

— „Taniec włoski — odczuwał się Napoleon — wprowadzony do Polski przez króla francuskiego, do Francji wrócić powinien. Duroc — zawołał — odtąd w Paryżu wszystkie bale rozpoczynać się będą polonezem“.

Kiedy w królewskim zamku przedstawiano cesarzowi panią Aleksandrową Potocką, od dwóch lat niespełna zamężną:

— „*Vous êtes divorcée?*“ — zapytał monarcha.

— „*Non, Sire*“.

— „*Vous avez des enfant?*“

— „*J'ai un fils*“.

— „*Il est militaire, à mon service?*“

— „*Sire, il est encore en nourrice*“, odpowiedziała z przyciskiem pani Potocka.

Kolej następowała na starą koniuszynę Kicką, której cesarz te same uczynił pytania: — czy rozwiedziona, a gdy zaprzeczając odebrał odpowiedź, „*et vos enfants?*“ i dodał, „*oui, je sais, ils sont en nourrice*“

Następnie się zatrzymał przed kasztelanową Morską, która miała na sobie staroświecką, z bogatej, jedwabnej materji suknię, całą rzucaną w motyle. „*Votre robe est de Lyon?*“ zapytał, „*Non, Sire*“, odpowiedziała nie umiejąca prawie języka francuskiego kasztelanowa, „*Papillon*“. Gdy wymieniono przed nim panią Niemierzycową, obywatelkę z Rawskiego, cesarz, nie dosłyszawszy nazwiska, kazał je sobie powtórzyć i zapytał: „*Comment s'appelle-t-elle?*“ pani Niemierzyc, sądząc, że się monarcha pyta: skąd rodem? zawołała *de Rawa*, i odtąd panią *de Rawa* przezwana została.

Innego razu cesarz rzekł do pani Aleksandrowej Potockiej: „Wasz mazurek ma coś rycerskiego w sobie tchnie zwycięstwem; musiał być utworzony po zawojowaniu jakiego sąsiedzkiego państwa“.

„Najjaśniejszy panie — odpowiedziała pani Potocka — w naszych dziejach nie znajdziesz śladu zaborów. Polak nie podbijał, bronił się tylko, a odpie-

rając nieprzyjaciół, czasami rozszerzał własne granice. Jeżeli więc mazurek początek bierze na polu sławy, musiał być stworzony po odparciu najezdника, po oswobodzeniu ojczyzny“.

— „Kiedy tak — przerwał Napoleon — nie należało wam go tańcować po utracie waszego kraju“.

— „Ale zato teraz, niech nam go wolno będzie tańczyć — dodała dama — kiedy mamy wpośród siebie wskrzesiciela naszego“.

Cesarz nic na to nie odpowiedział, lecz przysunął się do pani Anastazowej Walewskiej, z którą rozmawiać począł.

Generał dywizji hr. Morand, poznawszy na jednym z balów p. Emilję Parysównę, jej piękność i skromną powierzchowność, tego samego wieczora prosił księcia Józefa, aby go matce panny zaprezentował. Nazajutrz złożył wizytę, a we dwadzieścia dni nastąpił ślub w kościele św. Krzyża. Niedługo potem wyjechali pp. Morandowie do Paryża. Panna Emilja po raz pierwszy wstąpiła w świat arystokracji francuskiej na polowaniu, danem dla cesarza w Grosbois przez marszałka Berthiera, na którem cały dwór miał wystąpić! Dotychczas nigdy się jeszcze na żadnej dworskiej uroczystości nie znajdowała; bliższe widzenie cesarza, o którym się tyle od dzieciństwa nasłuchiwała, było celem jej niecierpliwego oczekiwania i gorących życzeń. Generał pragnął bardzo, aby żona jego ściągnęła szczególną uwagę cesarza i ogólnie się podobała. Najkapryśniejsza kobieta nie poświęciła więcej czasu przyborom swojej toalety, niż Morand w owej chwili, ubierający swą żonę. Zwołano krawców, szwaczki, modniarki, kupców, fryzjerów, którzy przez dwa tygodnie nie przestawali za-

legać pokój gotowalniany pani generałowej. Główny wszakże kierunek tualety przyjęła na siebie znana z wytwornego smaku jednooka pani Tyszkiewiczowa. Po długich korowodach, krętaninach, zawodach dzieło dokonane zostało, zaczęła piękna, wysmukła i hoża blondynka, ubrana do koloru twarzy i płci swojej w błękitną ze srebrem suknię, wsiadła do karety, drząc prawie ze strachu, napół zgięta, aby nie popsuć ubrania głowy. Ośmielona szmerem zadowolenia, które koło siebie wywołała, bawiła się wybornie.

Wieczorem, gdy towarzystwo przeszło do sali koncertowej, nagle główne podwoje roztwierają się. Wchodzi cesarz w tradycyjalnym mundurze strzelców konnych gwardji, bez żadnych ozdób prócz legji honorowej w towarzystwie gospodarza marszałka Berthiera i generała Duroca. Mężczyźni, stojący w środku sali, ścisnęli się, aby zrobić miejsce cesarzowi. Damy wszystkie powstały z krzeseł. Napoleon bystrym wzrokiem okrążył salę, a spojrzawszy w stronę, gdzie była pani Morand, zamienił pocichu kilka słów z Durocem, poczem szybkim krokiem stanął niespodzianie przy pani Morand i skłonił się zlekka. Zapytał, jak dawno kraj swój opuściła, dlaczego jej nie widział w czasie swej bytności w Warszawie, i dodał grzecznie, że pragnie, aby się w Paryżu dobrze bawiła i że nigdzie piękniejszych nie widział kobiet niż w Polsce. Tak niespodziane było to natarcie, iż generałowa chwilowo straciła przytomność i wszystkie wyuczone odpowiedzi wyszły jej z pamięci. „Moje pomieszenie — mawiała często potem — nie było skutkiem magnetycznego wpływu wzroku Napoleona, o którym mi tyle mówiono, ale miało inną zupełnie przyczynę. Nieszczęście chciało, że

generał stał wpośród grupy adjutantów cesarskich, wprost mnie, a za cesarzem. Nasze wejrzenia spotkały się; wzrok generała był tak błagalny, a później tak gniewny, że mi odjął resztę odwagi, która mi tak potrzebna była“. Pomimo to pani Emilja! nie zrobiła na cesarzu złego wrażenia. Nie czekając, zwyczajem swoim, odpowiedzi na pytania, cesarz okrążał dalej koło dam, a spostrzegłszy Moranda, stojącego opodal, przystanął chwilę i rzucił mu te słowa: „*Morand, votre Polonaise est jolie, je vous en fais mon compliment*“. Te czarodziejskie słowa dostateczne były dla złagodzenia złego humoru generała. Zbliżywszy się do żony, ścisnął jej rękę, jakby za nie dziękując. Ilekroć później widział Napoleon Moranda poza służbą, nie zaniedbywał pytać się o zdrowie jego żony i to w słowach bardzo dla niej pochlebnych. Gdy im się pierwszy syn urodził, Napoleon pozwolił się nazwać jego ojcem chrzestnym i ochrzcił go swoim imieniem. Hrabia Lavalette, krewny Józefiny, dopełnił tego obrzędu w imieniu cesarza.

PANI WALEWSKA.

Constant, słynny kamerdyner Napoleona, pozostawił w swych pamiętnikach obszerniejszą od innych sylwetkę p. Walewskiej. Podajemy ten ustęp w tłumaczeniu.

...Podróżowaliśmy w małych karetach krajowych. Jak wogóle zawsze w podróżach, karetka wielkiego marszałka poprzedzała cesarską. Pora i przejazd artylerji sprawiły, że drogi były okropne, mimo to jechaliśmy dość prędko do Warszawy.

W Warszawie cesarz spędził cały styczeń na zamku. Szlachta polska, pragnęła mu się przypodobać. Dawano na przyjęcie cesarza wspaniałe bale i urządzano niezwykle przyjęcia. Uczestniczyła w nich cała elita magnaterji polskiej.

Na jednym z takich zebrań cesarz zwrócił uwagę na młodą Polkę, p. W. Miała ona lat dwadzieścia dwa i była poślubiona staremu magnatowi, obyczajów bardzo szorstkich, bardziej kochającego swoje tytuły niż żonę. Pani W. podobała się cesarzowi od pierwszego widzenia. Blondynka, oczy miała niebieskie, cerę przeslicznej białości, była niewysoka, ale dobrze zbudowana i ładnej kibici. Cesarz, zbliżywszy się do niej, zaczął rozmowę, którą ona z wdziękiem i sprytem podtrzymywała, z czego można wnosić, że odebrała wytworne wykształcenie. Ciężki melancholji, malujący się w jej postaci, nadawał jej szczególnego uroku. Cesarz widział

w niej kobietę poświęcającą się i nieszczęśliwą w małżeństwie, to go pociągało bardziej jeszcze i sprawiło, że zakochał się gwałtowniej, niż w każdej innej dotąd kobiecie.

Nazajutrz po balu zdziwiony byłem niezwykłym podnieceniem cesarza. Wstawał, chodził, siadał, znowu wstawał, zdawało mi się, że nie skończę dnia tego toalety cesarza. Zaraz po śniadaniu dał poufną misję pewnemu wielkiemu dygnitarzowi, którego tu nie wymienię. Ten miał udać się z wizytą do p. W. i złożyć jej hołd oraz życzenia cesarza. Pani W. odrzuciła dumnie propozycje za nagłe może, a uczyniła to, być może, przez kokieterję, właściwą kobietom. Bohater podobał jej się, myślał, że kochankiem jej mógł być człowiek tak potężny i sławny, burzyła pewnie spokój jej umysłu, ale żadną miarą nie chciała się poddać bez walki. Dygnitarz wrócił pomieszany i zdziwiony, że mu się nie udało. Następnego dnia rano, zastałem cesarza, ciągle jeszcze tą samą myślą zajętego. Nie wyrzekł do mnie ani słowa, choć zazwyczaj był dość wobec mnie rozmowny. Kilka razy dnia poprzedniego pisał do pani W. nie dostał jednakże żadnej odpowiedzi. Jego miłość własna była tem bardzo podrażniona, nie był do oporu przyzwyczajony. Wkońcu napisał tyle listów czułych i wzruszających, że p. W. uległa. Zdecydowała się przyjść zobaczyć cesarza wieczorem między 10—11-stą. Dygnitarz, o którym wspominałem, dostał polecenie udania się po nią powozem w miejsce oznaczone. Cesarz, czekając, chodził wielkimi krokami i zdradzał tyleż emocji, ile niecierpliwości, co chwila pytając: która godzina. Pani W. wreszcie przybyła, ale w jakimż stanie? Błada, bez słowa, z oczyma pełnemi łez. Wprowadzi-

łem ją do pokoju cesarza. Zaledwie mogła się utrzymać na nogach i drżąca wspierała się na mem ramieniu. Pani W. płakała i szlochała tak, że pomimo oddalenia słyszałem to i serce mi się krajało. Prawdopodobnie podczas tego pierwszego spotkania cesarz nic od niej nie uzyskał. Około drugiej po północy cesarz zawołał mnie. Przybiegłem i widziałem wychodzącą p. W. płaczącą jeszcze i zakrywającą oczy chusteczką. Odwiózł ją ten sam dygnitarz. Myślałem, że już nie wróci. W dwa, albo trzy dni później, o tej samej godzinie, pani W. przybyła do zamku i zdawała się spokojniejsza. Ogromne wzruszenie malowało się na jej ślicznej twarzy, ale oczy miała suche i nie była tak blada. Powtarzała swe odwiedziny aż do wyjazdu cesarza.

W dwa miesiące później cesarz z swej głównej kwatery w Finkenstein napisał do p. W., która pospiesznie przybyła na wezwanie. Cesarz kazał przygotować apartament, sąsiadujący z jego pokojami. Pani W. zamieszkała tam i nie opuszczała już zamku w Finkenstein, tembardziej że stary jej małżonek, obrażony w swej godności i swych uczuciach, nie chciał w dom swój przyjąć kobiety, która go opuściła. Pani W. przez trzy tygodnie pobytu cesarza w Finkenstein mieszkała przy nim, a po jego odjeździe powróciła do rodziny. Przez cały ten czas okazywała imperatorowi najżywsze i bezinteresowne przywiązanie. Napoleon zdawał się ze swej strony rozumieć tę anielską kobietę; usposobienie jej, pełne dobroci i abnegacji, zostawiło mi wspomnienie niezatarte. Jadali zwykle oboje z cesarzem razem, sam im usługiwałem, a zatem byłem świadkiem zawsze miłej ich rozmowy, żywej i podnieconej ze strony cesarza, a czulej i melancholijnej ze strony p. W. W nie-

obecności Napoleona pani W. spędzała czas samotnie, czytając, albo też przez okno, z za firanek, przypatrywała się parady wojskowej i ćwiczeniom, wykonywanym pod komendą cesarza. Takim jak usposobienie było i życie jej, jednostajne i zawsze jednakie. Jej charakter zachwycał cesarza i przywiązywał go codzień do niej bardziej.

Po bitwie pod Wagram 1809 cesarz udał się do Szönbrunu. Zaraz sprowadził p. W. do ślicznego domu na jednym z przedmieść Wiednia. W tajemnicy jeździłem co wieczór zamkniętą kareta bez godeł i liberji z jednym lokajem. Wprowadzałem ją do pałacu ukrytymi drzwiami wprost do cesarza. Droga, choć krótka, była nieszczególna, zwłaszcza po deszczu, wskutek dziur na każdym kroku. Cesarz niemal codzień troszczył się o to i nakazywał. „Uważaj bardzo dziś wieczór, Constant, bo deszcz padał i droga rozmokła. Czyś pewny swego woźnicy? Czy powóz w dobrym stanie?“ I inne pytania w tym guście świadczyły o szczerem i prawdziwym przywiązaniu do p. W. Cesarz zresztą miał rację, upominając mnie, gdyż raz wyjechaliśmy później niż zwykle od p. W. i woźnica nas wyrócił. Siedziałem po prawej stronie p. W., a że powóz wyrócił się na prawą stronę, szczęściem ja sam tylko odniosłem uderzenie, a pani W., upadającej na mnie, nic się nie stało. Swoją wdzięczność za ocalenie jej w ten sposób od wypadku wyraziła mi sobie tylko właściwym wdziękiem. Śmiejąc się, opowiedziała zaraz po przyjeździe do pałacu całą przygodę cesarzowi.

Właśnie w Szönbrunie p. W. zaszła w ciążę. Nie potrafiłbym nawet opisać wszystkich starań i względów, jakimi ją cesarz otaczał. Sprowadził ją do Paryża pod

opieką brata i panny służącej. Wielki marszałek zakupił dla niej pałacyk na Chaussée-d'Antin. Pani W. czuła się szczęśliwą i mówiła często: „Wszystkie moje myśli od niego przychodzą i do niego dążą: on jest mojem dobrem, moją przyszłością, mojem życiem“. Wychodziła jedynie czasem do małych apartamentów cesarza w Tuilerjach. Gdy jej tego szczęścia wzbroniono, nie udzielała się nigdzie, przyjmowała parę osób i pisywała do cesarza. Wydała na świat syna, uderzająco podobnego do Napoleona. Było to wielką radością dla cesarza. Przybiegł do niej zaraz, jak tylko mógł się ulotnić z pałacu, wziął dziecię w ramiona, uścisnął matkę i syna i powiedział: „Jesteś hrabią.“ Później w Fontainebleau dał mu ostatni dowód przywiązania.

Pani W. wychowywała syna sama i nie opuszczała go nigdy, przyprowadzała go często do zamku, a ja ich sam czarnemi schodami wprowadzałem. Jeśli ona lub dziecko byli słabi, cesarz posyłał zaraz zdolnego swego lekarza Corvisart; ten sławny lekarz miał raz sposobność uratować młodego hrabiego z ciężkiej i niebezpiecznej choroby.

Pani W. kazała zrobić cesarzowi pierścionek złoty, opleciony jej blond włosami. Wewnątrz wyryte były słowa: „Gdy przestaniesz mnie kochać, nie zapomnij, że ja Cię kocham.“ Cesarz nazywał ją zawsze Marją.

Zadługo może rozwodzę się nad tym stosunkiem cesarza, ale p. W. była zupełnie odmienną od reszty kobiet, darzących swemi względami cesarza. I słusznie nazwali ją Lavalière cesarza, który w każdym razie nie okazał się niewdzięcznym, tak jak Ludwik XIV wobec

jedynej kobiety, która go naprawdę kochała. Ci, którzy jak ja mieli szczęście ją znać zbliska, zachowali na pewno wspomnienie, memu podobne, i rozumieją, dlaczego tak wielką widzę różnicę między panią W., czułą i skromną kobietą, wychowującą w zaciszu swego syna, a faworytami zdobywcy z pod Austerlitz.



POCZTĄ POLOWĄ Z SOMO-SIERRY.

Generał Wincenty Krasiński tak pisał w liście do Zygmunta Vogla tuż po wickopomnej szarzy ułanów polskich:

„Bardzo ci wdzięczny, mój Voglu, że o mnie nie zapominasz. Nowin żądasz. Mam ci z jednej strony smutne dla nas donieść, z drugiej nadto szczęsne. Pierwsze, iż straciłem kapitana Dzienanowskiego, porucznika Krzyżanowskiego, Rowickiego, Rudowskiego, wachmistrza Bromirskiego, żołnierza Parysa i 17 innych, ale też zato 14 harmat w pozycji najwarowniejszej wziętem, 5 chorągwi i do 3000 niewolnika moim regimentem na batalji Somo-Sierra. Generał Savary po batalji raczył mi przed regimentem oświadczyć, iż monarcha jest z nas kontent i że przechód mój w wąwozie Somo-Sierra równać się może z najwaleczniejszymi czynami regimentów francuskich. Goniłem nieprzyjaciela aż pod samą bramę Madrytu jedną kawalerją. Byłem w ten dzień przy cesarzu, prócz jego eskorty. Szwoleżery moje po szarzy madryckiej aż w bramy miasta wpadli, położywszy na placu do 20 gwardji hiszpańskiej, wpadli na harmaty i 1 wzięli. A co jest osobliwszego, że baterja z 12 harmat kilkominutowym ogniem kilku mi tylko lekko raniła.

Madryt po nadciągnięciu wojska we trzy dni się poddał, ja zaś pod komendą marszałka Bessiéres w wilję dnia tego udałem się przez Alcalę do Guadajalar, gdzie znaleźliśmy do 20.000 wojska hiszpańskiego, które po małej utarczce przez 2.000 kawalerji, któreśmy mieli, zaczęło rejterować — goniliśmy aż do Santa Cruz przez dni trzy; przepłynąłem moimi szwoleżerami Pagod, miałem szczęście odciąć tym sposobem część kolumny nieprzyjacielskiej. 500 niewolnika było skutkiem przebycia rzeki wplaw. Straciłem tylko młodego Szulca z Warszawy i Suryna.

Później przez Toboso i Aranjuez wróciłem do Madrytu dla złączenia się z gwardją. Raczył monarcha dać krzyże legji honorowej szefowi szwadronu Kozieltulskiemu, kapitanowi Krasieńskiemu i rannemu pod Somo-Sierrą porucznikowi Niegolewskiemu, wachmistrzom Cichockiemu, Dąbczewskiemu, Waligórskiemu, Babec-kiemu i żołnierzowi Surzyckiemu. Jeszcze raz monarcha raczył mi oświadczyć swe ukontentowanie, nazywając nas „braves Polonais“. Prześlę ci imiona zabitych żołnierzy. Teraz ci tylko donoszę, iż prócz małej kontuzji u ręki i zrzucenia mnie z konia, żadnego innego przypadku nie miałem.

Zdaje się, że ta wojna się skończy, gdyż Anglicy nazad się cofają, a prowincje hiszpańskie przysyłają z poddaniem się królowi. Jak genjusz jednej osoby zmienił postać w kilku momentach!

Młody Roztworowski został kapitanem, Marczyński, Tedwen, Roman, Szorc, Gnatowski, Sokołowski oficerami. Kłaniaj się Osińskim i Woroniczom, powiedź Staszicowi, iż dlatego do niego nie piszę, iż musi być bardzo zatrudniony; staram się o manuskrypty arabskie

dla Zgromadzenia.

Z Madrytu, dnia 20 grudnia 1808.

Vale

Krasiński.

Główny bohater Somo-Sierry A. Niegolewski miał nieraz możność widzieć w Hiszpanji Napoleona.

Po przybyciu dy Bayonny — opowiada — stanął cesarz kwaterą w willi Marrac, pod miastem. O ćwierć mili od kwatery stał obozem szwadron szwoleżerów, którzy następnie tak wstawili się pod Somo-Sierrą. Cesarz kazał szwadronowi po raz pierwszy wystąpić w paradzie na przegląd. Szwadron stanął w ogrodzie en bataille. Kilka chwil potem zjawił się cesarz w mundurze grenadjerów pieszych gwardji, w trzewikach i pończochach na czele orszaku wielu generałów. Major Delaitre dowodził naszym szwadronem. Chcąc się przed cesarzem popisać, zakomenderował swym bardzo słabym głosem jakiś zwrot. My, mało znając komendy (jeszcze francuskiej) i nie dosłyszawszy komenderującego, obróciliśmy się jedni w lewo, drudzy w prawo i okazała się wielka mieszanina. Cesarz splunął, ale bez okazania gniewu, a potem rzekłszy: „*ces jeunes gens ne savent rien*“, przywołał de Rosvela i oddał mu nas na naukę musztry. W kilka tygodni potem daliśmy jednak cesarzowi sposobność powzięcia lepszego o nas mniemania, a miło mi przypomnieć sobie, że ja się do tego przyczyniłem.

W kilka dni po sprowadzeniu do Bayonny Ferdynanda VII wybuchł tam w dwóch miejscach ogień. Rozeszła się zaraz wieść, że podłożony na sygnał Hiszpanom, aby pod Bayonną wpadli na Marrac, cesarza zabili i Ferdynanda uwięzili. Byłem wtedy na służbie

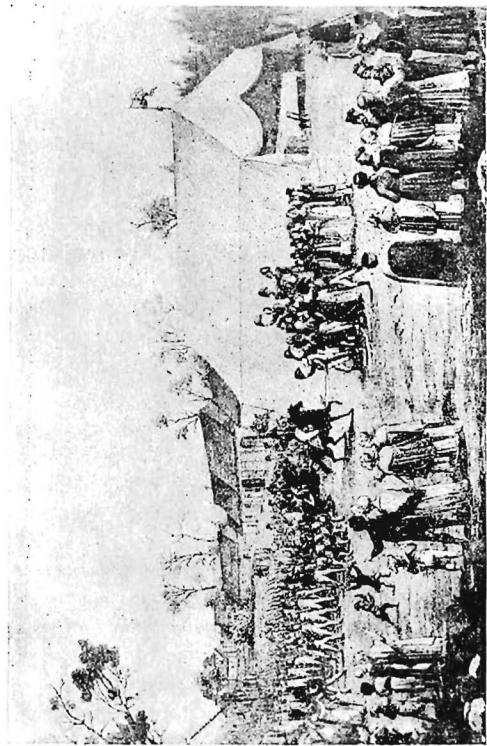
z plutonem i miałem ludzi moich w karczmie, naprzeciw pałacu. Na rozkaz stanęliśmy przed pałacem, nawet bez trębacza.

Cesarz z peronu domu, oświetlonego latarniami gęstemi, odzywa się do grenadjerów i szaserów pieszych: „*allons, vieilles moustaches, vous êtes encore sous vos tentes, tandis que ces jeunes gens, qui n'ont pas encore de poil au menton, sont déjà à cheval*“, przybliżył się do mnie i pyta: „*avez-vous des cartouches?*“ na co ja mu: „*non, Sire*“. Cóż nam po nich, kiedy nasze karabinki jeszcze innych skałek prócz drewnianych nie widziały. Na dalsze jego zapytanie: „*avec quoi me defendrez vous, si je suis attaqué?*“ odpowiedziałem: „*Sire, nous avons des sabres*“. Wtedy cesarz rzekł: „*c'est bon*“ i pewnie przypomniawszy sobie nieudaną rewję naszą, staje nagle tuż przed samym plutonem, odzywa się do mnie; „*faites ouvrir vos rangs!*“ Poczem cesarz przeszedłszy szeregi, kazał je zamknąć i do pałacu wrócił.

Przeszło godzinę staliśmy pod pałacem i dopiero, gdy się przekonano, że ogień był przypadkowy, kazano nam wrócić na swe stanowisko. W godzinę potem przyniosła mi służba cesarska kilka koszów wina i rozmaitego mięsiva, oświadczając, że cesarz przysłała to, aby nas posilić, a przyniesiono nam tego wszystkiego tyle, że sami nie bylibyśmy mogli wszystkiemu poradzić, zaczętem posłać do obozu do Dziewanowskiego, żeby z kolegami na śniadanie przychodził.

Służba pałacowa w Marrac dawała nam wogóle sposobność poznania cesarza. Byliśmy tam nietylko naocznymi świadkami ważnych i stanowczych wypadków, aleśmy też mieli sposobność poznać cesarza

w chwilach jego zabaw i rozrywek. Tak np. przypominam sobie, że raz Napoleon wepchnął cesarzową w odnogę morską, zwaną „*Chambre d'amour*“. Józefina zmaczała się i trzewiki pogubiła. Napoleon bez namysłu wziął je i wyrzucił. Chciałem je podnieść i cesarzowej oddać, ale mi zakazał, a ją tylko z pończochami na nogach do karety wsadził. Innym razem, zwiedzając z cesarzową fort „*Château vieux*“, przeszedł przez płot, przez który i cesarzowa, idąc za nim, zahaczyła suknię o ciernie. Ponieważ z obowiązku postępowałem pieszo z kilkoma żołnierzami za nimi, chciałem cesarzową z zahaczenia wydobyć, ale jej suknię bardziej w ciernie wplątałem i prawie całą podarłem. Moja ta niezgrabność bardzo mnie zmieszała, ale cesarz z cesarzową śmiali się i żartowali ze mnie“.



POWRÓT WOJSK Z POD ZAMOŚCIA

NA KWATERZE GŁÓWNEJ I W ŚRÓD WIARUSÓW.

Na całe życie zapamiętał każdy z oficerów napoleońskich chwilę, w której z NIM mówił, z ust JEGO rozkaz bezpośrednio odebrał lub kilka słów, szorstkich chociażby, usłyszał. Oto np. wrażenie gen. Józefa Szymanowskiego. Ujrzał Napoleona po raz pierwszy na zamku w Schönbrunie, gdzie powołany został w zastępstwie adjutanta marszałka Davousta.

W SCHÖNBRUNIE.

„Wszedłszy dość śmiało, zastałem cesarza nad mapą, rozłożoną na dużym, okrągłym stole, oświetlonym kilkoma świecami woskowymi. Obok cesarza tak z jednej, jak z drugiej strony leżały dwie poduszki, w których widniały wetknięte szpilki zwyczajne z białymi i kolorowymi karteczkami u łebków. Po lewej stronie zoczyłem stos depesz, które cesarz z uwagą odczytywał, znacząc od czasu do czasu szpilkami odpowiednie miejsca na mapie. Ubrany był w biały, pikowy surdut letni, zaś na głowie miał czepok, związany dość cienką wstążką zieloną czy też niebieską. Nie uważał czy też nie dosłyszał, co mu Rapp o adjutancie marszałka Davousta meldował, gdyż nie przerywał swego zajęcia, ja zaś, stanąwszy na cztery lub pięć kroków przed stołem, anim się ruszył, przygotowując w myśli odpowiedzi, gdy mnie o to lub owo w spra-

wie naszego korpusu zapyta. Tak upłynęło jakich dwadzieścia minut, w ciągu których stałem jak wryty, nie śmiejąc nietylko odkasznąć lub chrząknąć, ale nawet silniej odetchnąć. Aż tu cesarz podnosi głowę i widzi o kilka kroków przed sobą postać, do której widoku nie był przyzwyczajony. Silnie więc popchnie ku mnie stół, którego nogi zaopatrzone były w kółka, i krzyknie gwałtownie: „Ktoś ty?”

Obstupui. Zapomniałem najzupełniej o przygotowanej dokładnie odpowiedzi, zapomniałem, kto jestem i jak się zowie, osłupiałem. Usta mi zamurowało. Tymczasem cesarz, widząc, że mnie zmieszał, uśmiechnął się, zbliżył się do mnie i położywszy rękę na mem ramieniu, mówi:

— No, przyjdź do siebie i powiedz, kto jesteś?..

To pytanie, wyrzeczone łagodnym głosem, rozwiązało mi wkońcu usta. Powiedziałem, że jestem ze sztabu trzeciego korpusu.

— Ależ ty nie jesteś Christophe...

— Nie, sire.

— A gdzież jest Christophe?

— Pojechał do Wiednia z depeşami dla jenerała Frianda.

— Tak, tak — rzecze cesarz — tam zostawiliście jedną dywizję waszego korpusu — i spostrzegłszy w tej chwili na mej piersi krzyż polski, bierze go w rękę i pyta:

— Tyś nie Francuz?

— Nie.

— Toś Polak?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Jesteście walecznym narodem, — czy też — należysz do walecznego narodu...

Skłoniłem głowę na te słowa, poczem cesarz zawiadomił mnie, o czem jeszcze nie wiedziałem — o bitwie pod Raszynem, o kapitulacji Warszawy, o konwencji z arcyks. Ferdynandem, i dodał z naciskiem:

— Oddanie Warszawy Austriakom nic nie znaczy, bo niedługo wrócą tam Polacy...“

CI LUDZIE TYLKO BIĆ SIĘ UMIEJĄ:

Powróciwszy do Schönbrunu w r. 1809, zajął się Napoleon przeglądem wojsk. Codziennie dziedziniec pałacu schönbruńskiego był napełniony wojskiem i różnemi oddziałami artylerji pociągów różnego rodzaju oraz takimi pułkami, które cesarz chciał wynagrodzić za bitwy odbyte. Przyszła kolej i na nasz pułk — tak opowiada Załuski. Mieliśmy rozkaz wystąpienia w zupełnym komplecie ludzi i koni. Pułk nasz ciągnął w całej paradzie, podzielony na dwa regimenty po 4 szwadrony bojowe; pierwszym dowodził major Delaitre, drugim Daulancourt, oboma — niby brygadjer — pułkownik Krasiński.

Po ustawieniu kompanji w szyku lustracyjnym, co odbyło się w wielkiem zamieszaniu i nieporządku, Napoleon idzie prosto na mnie i stanąwszy przede mną, pyta surowo: To pan dowodzisz kompanją? — Tak jest, naj. panie. — Wielu ludzi przytomnych? — 84. — Wielu w marszu pozostałych? — Tyle — Wielu w zakładzie we Francji? — Tyle — Jaki ogół ludzi i koni? — Tyle.

Te pytania następowały tak prędko jedno po drugim, że trzeba było być dobrze przygotowanym i posiadać język francuski, ażeby cesarza nie zniecierpliwic.

Istotnie nie wiem, coby się było stało, gdyby Franciszek Łubieński, który się jąkał i nie był koniecznie mocny we francuszczyźnie, był tak nagląco nagabywany... Zdaje się, że cesarz był zadowolony z mego sposobu odpowiadania, równie prędkiego jak jego pytania, bo spozierał na mnie z natężeniem i jakimś upodobaniem, z którego wynikało, że w dobrym wcale humorze rzecze do mnie:

— *C'est bien, voyons les livrets!* — (to dobrze, zobaczmy teraz książki).

Na to ja: „Niema ich, naj. panie!“

— Jakto niema ich?

— Nigdy ich nie było, naj. panie!

— Jakto, Loubieński (Łubieński), to twój szwadron, a niema książeczek?!

Na to Łubieński, którego Napoleon znał bliżej, a który nie był przyjacielem Krasińskiego, odpowiada:

— „Naj. panie, nie ja dowodzę regimentem!“

Tu Napoleon, domysłając się, że chciano szkodzić Krasińskiemu, którego on lubił, przywołuje majora Delaitre'a i już pełen gniewu, krzyczy na niego: „Cóż to, pułkowniku Delaitre! ja waćpanu poruczyłem formację tego regimentu i ty zostawiasz go bez książeczek?... Cóż to waćpan sobie myślisz, że to ja chciałem mieć pułk Arabów? (*un poulk d'Arabes*).

To powiedział Napoleon dlatego, bo znał Delaitre'a jako adjutanta Klebera i poruczył mu był dowództwo Mameluków, nim go awansował na majora do naszego pułku. Delaitre coś przebaknął na uniewinnienie się ze strony kosztów formacji pułku i t. p., tak że Napoleon, opuściwszy go, zwrócił swój podwójny gniew na intendentą Daru, który był inspektorem jeneralnym gwardji.

Kazawszy go w okamgnieniu do siebie przywołać — a był to pan orderowy, z gwiazdą na piersiach — cesarz tupnął nogą i krzyknął na niego: czy to tak administruje jego wojskami, żeby regiment jego gwardji był bez książeczek? i t. d.

Daru chciał coś odpowiedzieć... ale uniesienie Napoleona wzrastało coraz bardziej i krzyknął:

— „Odprowadzić tego nędznika z oczu moich! Niech go nie widzę! (*qu'il disparaisse! que je ne le vois plus!*)“ a odwracając się rozgniewany ku naszemu pułkowi, te same słowa powtórzył:

— Precz z nimi, niech na nich nie patrzę!...

Dopiero, kiedyśmy dosiedli koni i czwórkami w prawo, galopem przez pierwszą boczną bramę wylecieli w okamgnieniu, cesarz, widząc, że wielu zagranicznych mężów patrzyło zbliżając się na tę scenę, powraca ku pałacowi, uśmiechając się cały, i odzywa się do zagranicznych generałów:

— *Ces gens là ne savent, que se battre!*

W Dreźnie, gdzie Napoleon zwykł codziennie na przegląd gwardji wychodzić, — są słowa gen. Szymonowskiego — wprowadzono w mustrze pieszej manewr, nie objęty regulaminem, a polegający na zdjęciu oraz nasadzeniu bagnatów w pewnym tempie. Napoleon, chcąc mieć pretekst do łajania nas, stanął przed moim pułkiem i kazał mi przedewszystkiem zsiąść z konia.

— Zsiądź z konia, pułkowniku — rzekł — za wiele sprawiacie kurzu.

Natychmiast więc zeskoczyłem z mojej ślicznej klaczy angielskiej i uderzywszy ją szpadą, skierowałem między nagromadzone licznie pospólstwo. Cesarz kazał wziąć żołnierzom broń na ramię, zdjąć i osadzić ba-

gnety. Manewr ten, wykonany ściśle według regulaminu, nie podobał się cesarzowi, więc zwróciwszy się do Dąbrowskiego, zawołał:

— Jak to być może, więc nie ćwiczyacie żołnierzy? Co to za pułkownik?

Usłyszawszy raz i drugi taką wymówkę, odważyłem się przemówić do cesarza w te słowa:

— Sire! Jeżeli Jego Cesarska Mość sądzisz, iż mój pułk nie umie dobrze zdejmować i osadzać bagnatów, to w każdym razie potrafi się nimi dobrze złożyć do ataku!

Siedm razy z rzędu kazał nam cesarz atakować, a gdy generał Mouton, obdarzony nader silnym głosem, chciał go wyręczyć w komendzie, jak się to zwykle praktykowało, rzekł mu Napoleon:

— Bądź cicho, chcę się przekonać, czy pułkownik zna swą powinność.

Komenderował więc cesarz różne obroty i żadnego nie dał zupełnie wykończyć, lecz widząc, iż idzie podług regulaminu, zaraz komenderował inny i znowu inny, co ośm lub dziewięć razy powtarzał, a często mówił: „To dobrze, tak jest dobrze“...

Wkońcu wpadł w tak wyśmienity humor, iż kazał nam pułkownikom podać po czterech oficerów i po czterech podoficerów lub szeregowców do krzyża legji honorowej. Zaraz więc wzięliśmy się do pularesów i podaliśmy Berthierowi nazwiska kandydatów. Miałem wtedy w pułku adjutantem porucznika Lenkiewicza, małego bardzo wzrostu, ale tęgiego oficera. Był on moim faworytem, a choć nic nie umiał po francusku, okazał się nieraz zwinny i dzielny żołnierzem. Ów Lenkiewicz, widząc, że podaję Berthierowi listę kandydatów, zapytuje mnie:

— Pułkowniku, a ja tam jestem?

Gdym mu z żalem odpowiedział, że nie podałem jego nazwiska, począł narzekać, że o nim zapomniał, choć mu przedstawiałem, iż nie mogłem przecież pominąć obu szefów bataljonowych, Bogusławskiego i Trębickiego, tudzież dwóch najstarszych kapitanów. Wszystko to go nie pocieszyło, mówię więc do niego:

— Widzisz, że niedaleko stoi cesarz. Idź śmiało i proś go o krzyż. Ja tuż będę, poprę twą prośbę, i ręczę ci, że legję dostaniesz.

— Kiedy nie umiem po francusku...

— Powiedz tylko słowa: *Sire! moi croix!*

To rzekłszy, podszedłem ku cesarzowi, wobec którego mój malec wyrecytował nauczony frazes.

— Czego chce ten smarkacz? — pyta Napoleon.

Wówczas ja wytłumaczyłem prośbę Lenkiewicza z tym dodatkiem, iż mogąc podać do krzyża tylko czterech oficerów z mego pułku, musiałem go pominąć.

— A czy zasługuje na krzyż? — zagadnął cesarz.

— I bardzo zasługuje — odpowiedziałem.

— Więc go dopisz — mówi cesarz — i tak się też stało. Na liście Berthiera dopisałem nazwisko Lenkiewicza, który otrzymał krzyż tyle upragniony.

ROZSTRZELAĆ!

Pewnego razu oglądał Napoleon most na Elbie, pod Dreznem, murowany na arkadach, który miał być przy opuszczeniu Drezna wysadzony w powietrze. Napoleon chciał sam wybrać arkadę do wysadzenia. W czasie, gdy go oglądał, przybył pułkownik Michałowski, kurjer z twier-

dzy Spandau, z doniesieniem, że twierdza kapitulowała, a załoga wyszła z bronią, amunicją i prawem wzięcia udziału w kampanji. Ten Michałowski robił sobie z tej misji wielką nadzieję, sądząc, że jako kurjer, jak się to często zdarzało, będzie wynagrodzony przez cesarza. Gdy Michałowski wszedł na schodki, pod most prowadzące, cesarz z pod mostu wychodził na górę. Widząc Napoleona, nie cofnął się i zatamował mu drogę, co może cesarza oburzyło. Cesarz ekspedycję otwiera, znajduje w niej niepomysłne doniesienie i krzyczy od razu: „Szaserów! rozstrzelać tego kanalję!“ Zaraz odezwało się kilka głosów ze świty cesarskiej, powtarzając: „Szasery, szasery!“ Strzelcy konni byli wówczas na eskorcie przy cesarzu. Na szczęście Michałowskiego szasery znajdowali się opodal, przy koniach świty cesarskiej. Któryś z adjutantów pobiegł po szaserów, a Michałowski ciągle stał, czekając egzekucji. Cesarz był niezmiernie rozgniewany i pewnie w tym momencie byłby nakazał egzekucję. Spóźniono się więc naumyślnie z przyprawieniem szaserów, chcąc tym sposobem zyskać na czasie, aby cesarz z pasji ochłonał. Chciano ratować nieszczęśnika, więc ile razy cesarz odwrócił się, generałowie dawali znaki Michałowskiemu, aby się oddalił, a tymczasem cesarz może prędzej o tem zapomni. Ale Michałowski tak już osłupiał, że owego kiwania generałów wcale nie zauważał. Nareszcie cesarz obrócił się do świty i zapytał:

— Kto fortyfikował Spandau?

Jeden z obecnych generałów inżynierji odezwał się:

— Ja fortyfikowałem.

— Dla jakich powodów mogła być zdobyta ta twierdza?

— Jeżeli wyschły bagna, które osłaniają twierdzę z jedncj strony, w takim razie nieprzyjaciel, korzystając, przybliżyć się może“ — odpowiedział generał.

Cesarz, zbliżywszy się ku Michałowskiemu, zapytuje: „Czy bagna wyschły?“ Michałowski w języku francuskim odpowiada: „Tak, cesarzu Napoleonie“. Przedrzeźniwszy tegoż odpowiedź, cesarz skrzywił twarz, jak gdyby płaczącego udawał, a nakoniec krzyknął: „Precz z oczu. gałganie!“ chcąc przytem kopnąć nogą Michałowskiego. Tymczasem obecni, widząc, że go już cesarz od siebie odpędzał, zmusili Michałowskiego kiwaniami i gestami, że poskoczył na schodki i uniknął niebezpieczeństwa.

W ZŁYM HUMORZE

Mały kapral — jak wiadomo — gwałtownym był despotą. W marszu czy w obozie nie wymagał od żołnierzy żadnego uszanowania. Inaczej od marszałków i wysokich oficerów. Więc nieraz przytem miały miejsca smutne zdarzenia. Słyszałem od brata mego, — wspomina Białkowski — który służył w gwardji szwoleżerów przez cały czas jej istnienia, następujące opowiadanie.

Pewnego razu stał on na szyldwachu wraz z drugim kolegą przy podwojach gabinetu cesarskiego. U cesarza był jeden z marszałków i widać, zaszło między nimi jakieś nieporozumienie, bo cesarz marszałka z gabinetu wypchnął i nietylko że go w kark uderzył, ale go jeszcze i nogą kopnął po tej scenie. Marszałek spokojnie obrócił się do szyldwachów i powiedział:

— „Panowie, niech to przy was w sekrecie zostanie, coście tu widzieli. Trudno, trzeba ulec humorowi cesarskiemu“.

Pamiętam — zapisuje Białkowski — po okropnej mojej przeprawie przez rzekę Elsterę, w czasie opuszczania Lipska, z powodu zmęczenia zmuszony byłem pozostać wtyle. Ponieważ gwardja piesza francuska stanowiła wówczas arjergardę, przeto złączywszy się z nią, szedłem dalej. Byłem wtedy naocznym świadkiem, gdy cesarz przybył do obozującej gwardji i zbliżywszy się do ognia, mówi: „Zrobić miejsce!“ Na to odpowiada któryś cesarzowi: „A przynieś drzewa“. Później, niby spostrzegając, że to cesarz, wyrazem „*pardon*“ pierwszy zwrot łagodzi. Następnie cesarz wciska się między wiarusów i albo stoi przy ognisku, albo też podają mu tornister, na którym siada, otoczony żołnierstwem, które paliło fajki, furażerki mając na głowie. Żołnierze rozmawiają ze sobą, jak gdyby wcale nie było cesarza. Tymczasem jenerałowie, starcy osiwiali, stoją opodal, mając odkryte głowy, i kapelusze w rękę trzymają. Nieraz widziałem jakiego marszałka osiwiałego, gdy rozmawiając z cesarzem, nietylko swoim koniem nie zrówna się z cesarskim, zostając zawsze ztyłu, ale nadto kapelusz, zdjęty z głowy, trzyma za sobą w rękę.

W czasie odbywanych przez cesarza lustracyj często się zdarzało, że żołnierze mieli jakąś prośbę albo zażalenie. Była forma taka, że który żołnierz chciał coś oświadczyć, gdy cesarz front przechodził, winien był na znak tego broń sprezentować. Gdy się to zdarzyło, najczęściej cesarz położył rękę swoją na ramieniu tegoż, niby go wysłuchując i dopiero wtedy kazał sobie tłumaczyć prośbę, jeżeli to był żołnierz z obcego narodu. Jeżeli to było zażalenie lub skarga, cesarz z oburzeniem najwyższem kazał przywoływać dowódców i czasem nie przyjmował żadnego tłumaczenia, polegając

na żołnierzu, a często dodawał: „Starajcie się do siebie żołnierzy przywiązywać, aby nie byli zmuszeni robić żadnych reklamacyj“. Otwarcie można było wiedzieć, że postępował ze stopniami niższymi z poufałością, a z wyższymi z największą dumą i arystokratyzmem.

WYNOŚ SIĘ BŁAŻNIE.

Przy pierwszym wystąpieniu pułku ułanów polskich przed Napoleonem na kwaterze przed Chantilly była awantura, która wielu oficerów spowodowała do opuszczenia tego pułku i przejścia do pułków Legji Nadwiślańskiej. Było to na placu Caroussel, przed liczną zebraną publicznością. Gdy pułk miał wystąpić, komendant brygady, generał Mouton, zakomenderował. Pułkownik miał dać stosowną komendę, ale Wincenty Krasieński, czyto napity (co mu się dość często trafiało), czy nie zadał sobie pracy nauczenia się dokładnie regulaminu, dał fałszywą i niejasną komendę; stąd powstało zamieszanie, co widząc, Napoleon kiwnął ręką i kazał pułkowi odejść nabok. Po paradzie kazał zawołać do siebie Krasieńskiego i nie przebierając w wyrazach, powiedział mu: „*Vous êtes un polisson, qui mérite du piea au . . . Allez vous en!*“ Mimo to Napoleon lubił Krasieńskiego, bo wierzył w jego przywiązanie i uległość.

W ZŁYM HUMORZE POD MOSKWĄ!

A już najgorzej było pod Moskwą. Dawniej przecież na codziennej audjencji jakimkolwiek wyrazem lub ukłonem zaszczycił cesarz każdego z Polaków, będą-

cych przy nim. Przez cały zaś czas bawienia w Moskwie nie zdarzyło mi się słyszeć — notuje Gajewski — by przemówił do którego z naszych. Aleksander Różnicki, wynosząc się wcześniej z Moskwy, miał u niego audjencję. Nie wiem, co się tam stało, lecz wyszedł z niej ogromnie zwarzony. Ten zamysł upokorzenia nas miał już gotowy, bo pod Wiaźmą jeszcze oficer od gwardji polskiej, przybyły ze śpiesznym raportem, nagle zostaje przez Napoleona odesłany. Niezręczny, w oczach jego przez rów skacząc, spada z konia. W furję wpada Napoleon i z tego nieboraka rozciągając sprawę do Polaków, wywodzi: „lż nie jesteśmy ludźmi, byśmy sobą rządzić mogli, żeśmy oddani do szaleństwa pasjom“ i t. d. Potrochu prawdę mówił, ale plótł, co mu ślina przyniosła. Gdy nas tak porządnie osmarował, wychodzę z koła, otaczającego go, i z pokornym ukłonem oświadczam, iż ten oficer, choć z gwardji polskiej, jest Francuzem, la Roche zwanym. Parsknął grubym śmiechem na to moje przedstawienie, lecz by przy swoim poniekąd utrzymać się, rzekł, iż widzi, że suknia tworzy mnicha.

— „Ale nie jeźdźca, — odpowiedziałem — najjaśniejszy Panie!“

RAPORT OFICERA ORDYNANSOWEGO.

Po bitwie pod Budziszynem, na folwarku pocztowym Neu-Burschnitz, Grabowski, oficer sztabu, powojany został do namiotu Napoleona. Namiot ów, z drelichu w pasy niebieskie i białe, był podwójny, to jest, tworzył w środku rodzaj pokoju z gankiem dokoła, na którym w nocy sypiał kamerdyner cesarza Constant, mameluk Rustan i niekiedy jeden z oficerów ordynan-

sowych. Przed namiotem trzymało straż dwóch sztyd-wachów z grenadierów gwardji. O ile cesarz kwatrował w jakim domu, to jeszcze stało na warcie i dwóch konnych. W namiocie, przy wejściu, mieścił się stół dość duży z porozkładanemi mapami, na których wielkie, zatknięte szpilki znaczyły położenie wojsk francuskich i nieprzyjacielskich. Te szpilki miały główki czarne i czerwone. W pobliżu stołu z mapami był drugi — dla urzędników przybocznego gabinetu cesarskiego.

Cesarz w szlafroku pikowym białym i pantoflach, z głową, owiązaną fularem, chodził po namiocie, zaścielonym kobiercem. W głębi namiotu widać było łóżko żelazne z pościelą, gdyż w chwili, gdy mię powołano, Napoleon dopiero co wstał. Łóżko od reszty pokoju oddzielała biała firanka.

„Gdy wszedłem, wprowadzony przez generała Monthion, cesarz, który mnie ledwie znał, zapytał:

— *Vous êtes Polonais?*

— *Oui, sire!* — odrzekłem.

— Zawieziesz pan te depesze księciu Ponia-towskiemu — mówił dalej cesarz. Znajdziesz go pan na drodze z Krakowa do Pragi. Byłeś pan w bitwie?

— Tak jest, sire!

— A więc będziesz pan umiał opowiedzieć szczegóły! Pozwoliłem sobie zapytać cesarza:

— Jak wasza cesarska mość rozkaże nazywać tę bitwę?

Napoleon zamyślił się nieco i rzekł:

— Nazwie się ją bitwą pod Hochkirch!

Wieś Hochkirch, pod którą Fryderyk W. 14 października 1758 r. bitwę stoczył i przegrał, leżała od biwaku o pół mili.

Po chwili cesarz ozwał się znów:

— „Przywieziesz mi wieści o stanie armji księcia, zobaczysz kawalerję, szczególnie tę, którą książe zorganizował na tamtejszych koniach. Oddasz list ode mnie jego wysokości królowi saskiemu, przejeżdżając przez Drezno, a drugi generałowi Durosnel. Wszędzie w przejeździe ogłosisz, jaki był wynik walki.

Sekretarze doręczyli mi natychmiast trzy ekspedycje. Pan Denis wyszedł ze mną, prosząc do namiotu księcia Berthier.“

Po powrocie wezwany został Grabowski zaraz do cesarza, którego zastał w sypialnym pokoju. „Oto moja rozmowa, o ile pamiętam, choć zaraz, wróciwszy do kwatery, zanotowałem ją.

— A więc wrócisz? Którędy?

— Przez Cieplice, Pragę, Berno... Sire! Księcia spotkałem w Austerlitz.

— Tak! A czy zadowolony?

— Naturalnie, sire, zachwycony! Pierwszy oddział jego korpusu przeszedł rano przez miasto, drugi trochę później. Księże ćwiczył je na polu pod Austerlitz. Tysiąc razy wołano: *vive l'empereur!*“

— Tak, to bardzo dobrze, bardzo dobrze, i w stosownej chwili!

W odpowiedzi opisałem mundur, konia i uzbrojenie.

— *Ah! ainsi, ce sont des Konia! J'en ai toujours désiré! C'est excellent! Il m'aurait fallu comme cela 10.000 en Russie à opposer aux cosaques! Notre cavallerie est trop lourde contre les cosaques!*

Opowiedziałem dalej, że się rozsypują na tyralje-rów i że musztra ich odbywa się na jeden odzew trąbki lub wprost chustki białej, wywieszzonej przez dowódcę, że szarżują z miejsca w cwał i t. d.

Cesarz ukontentowany był bardzo i mając tabakierkę otwartą na stole, a przechadzając się po pokoju z założonemi wtył rękoma, tabakę zażywał biorąc ją z tabakierki, a część większą rozsypując przytem po podłodze.

Miał cesarz nieprzyjemny dla mówiących do niego zwyczaj, gdy słuchał raportu lub opowiadania, wykrzykiwania od czasu do czasu: hem. Niekiedy zdawało się mówiącemu doń, że czegoś nie zrozumiał, lecz gdy zaczynał powtarzać, Napoleon przerywał niecierpliwie: „*eh, je comprends bien, continuez!*”

Gdym zdawał raport ze wszystkiego, co tylko wiedziałem lub dowiedziałem się o składzie i organizacji korpusu oficerskiego, cesarz czasem na mnie wejrzał bystrem okiem, lecz nie złośliwie, a gdym skończył, rzekł:

— *Oui, je sais cela! Quelles troupes étaient à Brünn?*

Po mojej odpowiedzi cesarz zmilczał i zażywał tabakę. Ja stałem, czekając, aż mnie odprawi. Po chwili spojrział na mnie:

— *C'est bien, je suis content de vous! Allez vous reposer! Quel âge avez vous?*

— *Vingt deux ans, sire!*

— *C'est bien jeune!*

Tu cesarz skinął. Wyszedłem z pokoju.

Tak się skończyła rozmowa, która przeszło pół godziny trwała, sam na sam z cesarzem, bo w tym pokoju nikogo nie było.

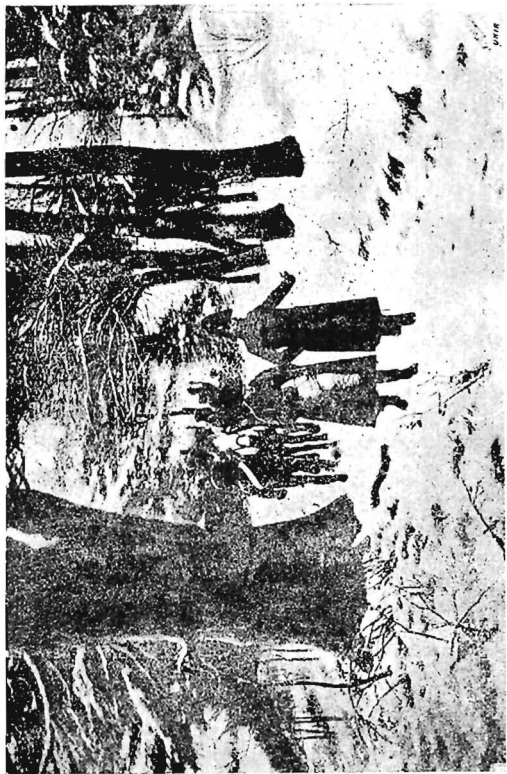
Cesarz był bardzo skąpy w pochwałach. Gdy rzekł: *c'est bien!* lub: *je suis content de vous*, to było bardzo wiele. Również był bardzo skąpy w rozdawaniu krzyżów, prócz na placu bitwy lub na jakiej batalji. Trzebił niemiłosiernie przedkładane mu listy do krzyża legji honorowej i przy każdym wniosku no-

tował własną ręką: *accordé — à quel titre? — Combien de blessures? — Plus tard! — A la première bataille, où il y a lieu.*“

POD BUDZISZYNYM.

...Wkrótce przybył cesarz na mój pagórek — opowiada oficer polski nieznanego imienia. — Miał na sobie historyczny swój sieraczkowy surdut i mały trójgraniasty kapelusz bez żadnych innych odznak wojskowych, jechał na pięknym bułanie. Z nim przybyli: marszałek Berthier i Ney, i nasz generał dywizji, Labruyère, siostrzeniec pierwszego. U podnóża pagórka posiadali z koni, a gdy ani masztalerza, ani ordynansa z sobą nie mieli, mój podoficer odebrał im konie. Stosownie do udzielonego rozkazu, żołnierze moi nie zważali bynajmniej na przybyłych gości. Ja zaś z fajką w ustach przechadzałem się po wzgórku. Za zbliżeniem się cesarza oddałem mu wojskowe powitanie, nie przerywając przechadzki. Czterech moich gości pokładło się na ziemię poza wielkimi kamieniami. Berthier rozłożył wielką mapę i podał Napoleonowi długą perspektywę. Pomówili chwilę z sobą zcicha, wskazując na mapę. Generał Labruyère przykląkł. Napoleon wsparł perspektywę na jego prawe ramię i w schylonej postawie rozpoznawał z kwadrans rosyjskie pozycje. Naprzeciw mego pagórka leżało miasto Bautzen, najeżone działami i silnie obsadzone piechotą, poza niem wzgórze. Poczem posiadali wszyscy na kamieniu. Napoleon przywołał mnie i zapytał po francusku, jak dawno służę?

— To moje rzemiosło, Najjaśniejszy Panie — odrzekłem — od 16-tu lat znam się z kulami.



NAPOLEON I MARSZAŁEK NEY

— Jakież twoje zdanie o kozakach?

— Śmiały to żołnierz, ale więcej z nich pożytku w służbie obozowej niż w bitwie otwartej.

— To prawda! Nacieraleśkiedy na piechotę rosyjską?

— Nieraz, Najj. Panie; mężna i godna przeciwniczka piechoty w. c. mości!

— Dobra uwaga — odrzekł Napoleon, obróciwszy się do marszałka Ney. Poczem rzekł do mnie:

— Wasza mowa, Polacy, bardzo podobna do rosyjskiej?

— Tak jest, Najj. Panie, porozumiemy się o tyle z sobą, jak np. Szwed z Duńczykiem lub Niemiec z Holendrem.

— Ale — zagadnął cesarz — mówisz pan po niemiecku?

— Mówię, Najj. Panie.

— Kiedy tak, siadaj na konia i sprowadź mi z tej wioski jakiego chłopca. W twej niebytności ja dowodzę twym posterunkiem.

W mgnieniu oka okiełzałem konia, wsiadłem i cwałem popędziłem ku wsi. Wziąłem spotkanego chłopca ze sobą na konia i cwałem wróciłem ku posterunkowi.

— Brawo! — zawołał Napoleon, skoro nas zoczył. Dziękuję ci.

Chłop zszedł z konia i trzęsąc się, oczekiwał swego wyroku. Napoleon obrócił się plecami do niego i przez generała Ney następujące dawał mu pytania:

— Jak głęboka jest rzeczka, płynąca doliną na prawo?

— Tylko po kolana — odpowiedział chłop.

— Czy przejeżdżacie ją wozami?

— Zawsze, wyjąwszy na wiosnę i jesień, jak wody wzbiorą.

-- Czy ją można wszędzie przebyć?

-- Nie, w niektórych bowiem miejscach jest pełno kamieni na spodzie, ale od tego to mostka na prawo na ćwierć mili jest twardy i równy grunt w rzece.

Napoleon, zdawało się, był zadowolony z odpowiedzi chłopą, bo się uśmiechał i rozweselił. Zażądał pieniędzy od marszałka Berthier i pełną garść napoleonów podał chłopu, mówiąc:

— No, masz, wypij na zdrowie cesarza Francuzów!

Chłop chciał mu upaść do nóg.

— Stój! — zawołał cesarz, — znasz ty cesarza?

— Nie znam, ale chciałbym go widzieć.

— W takim razie spojrzij tam! — krzyknął cesarz, wskazując na marszałka Neyą, który rozpinał swój wierzchni surdut i ukazał złotem haftowany mundur. Chłop upadł mu do nóg. Ney roześmiał się:

— Ten pan cię zwodzi! Oto cesarz! — zawołał Ney, wskazując na Berthiera.

Chłop powtórnie temu upadł do nóg.

— Nie trudź się nadaremnie — przemówił Berthier łamaną niemieczyzną — Nie ja, lecz tam cesarz, rzekł wskazując na Labruyère'a. Chłop chciał i przed tym upaść, ale Labruyère zawołał:

— Za młody jestem, bym był cesarzem, oddaj ukłon temu, co ci dał pieniądze.

— Prawdę pan mówisz? — zapytał Niemiec, chwytając cesarza za rękę, i całując ją, rzekł: „To złota ręka“.

Goście moi serdecznie się uśmieli, odprawili chłopą do domu i pomału poczęli schodzić z pagórka. Napoleon kazał Berthierowi wypłacić każdemu z moich ułanów po luidorze, poczem zawołał: „Berthier, zanotuj nazwisko tego oficera!“ Dosiadłszy konia, zwrócił się ku mnie, mówiąc: „Rozmawiałem z żołnierzami o tobie i jestem z ciebie kontent; jeślibyś kiedy miał prośbę do mnie, wprost się do mnie udaj i przypomnij naszą znajomość pod Budziszynem. Bywaj zdrów! Życzę ci, byś wkrótce rotmistrem został!“

Skłoniłem się, a Napoleon z swymi towarzyszami stępa oddalał się ku szwadronowi gwardji ułanów, którzy go oczekiwali cały ten czas, nie zsiadając z koni. W niespełna godzinę konni strzelcy zluzowali mój oddział. Wróciłem do pułku, a pierwsze słowo, którem mnie mój pułkownik powitał, było: „Jak się miewasz rotmistrze!“ W pułku już przeczytany był rozkaz dzienny, którym mnie awansowano z porucznika na rotmistrza. Szczęśliwy i pełen nadziei wychyliłem z kolegami kilka flasz starego wina, a w godzinę później zśliśmy naprzeciw kul nieprzyjacielskich, które jak wiadomo — nie robią różnicy między porucznikiem a kapitanem.

ATAK WEYSSENHOFA.

Gen. Weyssenhof opowiada: 1813 roku postąpiliśmy naprzód za Peterswalde. Stanąwszy na gładkiem polu, ujrzeliśmy na równoległym wzgórzu, naprzeciwko nas, wielką linię jazdy nieprzyjacielskiej. Co począć? Moja brygada już nie liczyła więcej nad 650 koni. Wtem przybył do nas sam Napoleon z kilku szwadronami jazdy gwardji. Na mojem lewym skrzydle

był wzgórek, znacznie wyniesiony. Nagle stanął na nim cesarz, zsiadł z konia i długo obserwował linię nieprzyjacielską, naprzód przez wielką perspektywę, kładąc ją na ramieniu jakiegoś generała, potem przez zwycięczajną swoją, ze słoniowej kości. kieszonkową — poczem, przechadzając się po wzgórkach i ziewając, strudzony i znudzony ciągłymi przeciwnościami, zapytał: „Co to za jazda stoi nadole? Gdy mu odpowiedziano, że to brygada polska i że polski generał nią dowodzi, zawołał mnie. Pośpieszyłem na wzgórze. Trzeba sobie wystawić to solenne milczenie, które panowało około posępnego cesarza. Skoro stanąłem przed nim:

— Czy to pan tutaj dowodzi?

— Tak, Sire.

— *Voyez-vous cette ligne? Chargez la moi droit devant vous!*

Poprawiłem kapelusza i wróciłem pędem do brygady. Straszny to był wyrok, bo widziałem przed sobą dziś razę mocniejszego nieprzyjaciela. Obserwacji wszakże żadnej robić nie można było, zawołałem przeto do moich:

— Polacy! Napoleon patrzy!

I kazałem ruszyć stępa. Uszedłszy nieco, zakomenderowałem kłusa. Wśród tego ruchu adjutant mój, Łuniewski, ostrzegł mnie:

— Czy widzi generał, co nasz Kaprał robi? (w wojsku nazywano Napoleona „*le petit caporal*“).

Obejrzawszy się, spostrzegłem wtyle za moimi skrzydłami i zdaleka postępujące szwadrony gwardji w kolumnach. Nowy zapął — „galopem“, a zbliżywszy się: „nacieraj!“ ze spuszczonej lancami, a huzary z podniesionymi pałaszami. Zdawało się zrazu, że jazda

nieprzyjacielska zamyślała dotrzymać, ale skorośmy się bardzo zbliżyli, wszystko znikło i uciekało bez ładu... Po ukończonej bitwie przybiegł do mnie generał Ornano, oświadczając, że cesarz był zadowolony ze sprawienia się brygady mojej w tym dniu.

NA BALU W WILNIE.

Po wycofaniu się wojsk rosyjskich wkroczył do Wilna 8-my pułk ułanów pod dowództwem Dominika ks. Radziwiłła. Jakiś szal ośwładnął Wilnem. Po całym mieście rozlegały się okrzyki triumfu. Część ludności, ubrana i uzbrojona w śmieszny sposób, zgromadziła się na placu ratuszowym, z radosnemi okrzykami wyrzucała w górę czapki i bratała się z domniemanymi zbawcami. Napoleon zatrzymał się około Zielonego mostu i pozostawał tak długo, dopóki nie dano mu znać, że kwatera już przygotowana w tym samym pałacu, który tylko co opuścił Aleksander. Na twarzy cesarza malował się niepokój i niezadowolenie. Prawdopodobnie domyślał się, że w cofaniu się Rosjan ukrywa się cel jakiś i wydawał się nierad, że zajęcie Wilna nie kosztowało go jakich dwu tysięcy ludzi, jak tego oczekiwał...

Zająwszy kwaterę, Napoleon zażądał, aby mu przedstawiono panie wileńskie. Z „frejlin“ dworu rosyjskiego znajdowały się w Wilnie tylko księżniczka Giedroyciówna i hrabianka Tyzenhauzówna. Pierwsza przez ostrożność przedstawiła się cesarzowi bez znaku dworskiego, zaś druga, pomimo odradzań ojca i przyjaciół, postawiła na swoim i przypięła sobie cyfrę z kokardą i numerem. Jak tylko wymieniono jej nazwisko, wzrok Napoleona padł na znak brylantowy i numer niebieski, które miała na sobie.

— Co to za dekoracje ma pani? — zapytał cesarz.

— Cyfrę Ich Cesarskich Mości Cesarstwa Rosji.

— Jesteś tedy pani Rosjanką?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ale mam rosyjskie odznaczenie.

W czasie tego przedstawienia Napoleon dawał mężatkom i pannom swoje zwykłe zapytania: „Ile masz pani dzieci? Czy tłuste? He?“ Panna Renno, uosobienie skromności, omal nie zemdląła, gdy cesarz zapytał ją, ile ma dzieci. Nieco później, na balu, który za namową księcia Bassano wydał w swoim pałacu hr. Pac, Napoleon, zobaczywszy pannę Gredroyciównę, stojącą obok panny Tyzenhauzówny, zapytał ją, dlaczego nie ma na sobie cyfry, skoro także jest „frajliną“ dworu rosyjskiego. Panna Gredroyciówna odpowiedziała, że w obecnych okolicznościach uważałaby to za niewłaściwe.

— Dlaczego? — rzekł Napoleon — jest to dekoracja dworska, która nic nie oznacza. Cesarz Aleksander był bardzo uprzejmy, dając pani to odznaczenie. Można być dobrą Polką i nosić tę cyfrę — zakończył, zwracając się z łaskawym uśmiechem do panny Tyzenhauzówny.

Panna Tyzenhauz tak opisuje wrażenia z balu:

Skoro tylko zawiadomiono nas, że Napoleon już jedzie na bal, wybraliśmy kilka pań dla powitania go nadole. W ich liczbie byłam i ja. Marszałkowie cesarstwa, dygnitarze, że nie mówię już o szambelanach, na samo brzmienie słowa „cesarz“ wypadli z sali jakby na spotkanie nieprzyjaciela na polu bitwy. Wielki koniuszy Caulaincourt ustawił przed drzwiami karety swego władcy stołeczek, widocznie w tem mniemaniu, że ziemia nie jest godna, by ją stopa cesarska dotknęła. Nie raczywszy powitać pań, które zeszły na jego spot-

kanie, Napoleon odwrócił się do nich plecami i wstąpił na schody, wysłane materją jedwabną, wśród miłych dla jego ucha okrzyków: „Niech żyje Cesarz!“ Wcale nie byłam dotknięta jego niegrzecznością i myślałam sobie, że słusznie nas ona spotkała za wystawianie u drzwi wejściowych bez żadnej rozumnej przyczyny.

W końcu sali urządzony był rodzaj tymczasowego tronu, t. j. fotel, ustawiony na dywanie, a przed nim poduszka, którą Napoleon, siadając na fotelu, odrzucił kopnięciem nogi. Wtedy rozległa się komenda: „Panie, siadać!“ Kilka chwil przyglądał się cesarz tancerkom, zwracał się z uwagami do osób, składających jego dwór, do marszałków i do gospodarza domu, poczem wstawszy, raz jeszcze obszedł dokoła panie i przeprowadzony zwykłemi okrzykami, odjechał, zostawiając Francuzom swobodę wyrażania zachwytów nad uprzejmością ich władzy...

Ciało profesorskie Uniwersytetu — opowiada dalej dr. Frank — dostąpiło również zaszczytu przedstawienia cesarzowi Francuzów. Przemawiał rektor Śniadecki. Czcigodny profesor, zwykle tak pewny siebie, tym razem był widocznie zakłopotany. Gdy Napoleon zapytał: „Cesarz Aleksander jest bardo dobry, to filozof na tronie. Czy on was proteguje?“ Rektor odpowiedział, że Uniwersytet wszystko zawdzięcza jego wspaniałomyślności. Do profesorów wydziału teologicznego zwrócił się Napoleon ze słowami: „Jesteście wszyscy papistami, co?“ — Jesteśmy katolikami — odrzekł jeden z nich. Gdy rektor przedstawiał p. Słowackiego, profesora literatury polskiej, cesarz zapytał:

— Alboż Polacy mają literaturę?

Widząc, że profesor-emeryt Narwoysz patrzy na

niego z zachwytem, ze łzami w oczach, Napoleon poklepał go po ramieniu i rzekł: „Zacny starzec“.

Gdy przedstawiono Jędrzeja Śniadeckiego, Napoleon rzekł: *Quelle chimie enseigne-t-on ici?* Na co Śniadecki odpowiedział: „*Sire, la chimie, qu'on enseigne à Paris*“. Na zapytanie cesarza, jaki jest roczny etat Uniwersytetu, gdy rektor dał odpowiedź, że 105 tysięcy rubli srebrem, Napoleon zrobił uwagę: „*Ce n'est pas trop*“. Wychodząc z audjencji, prof. Jędrzej Śniadecki zwierzył się profesorowi Capellemu z wrażenia, jakie nań sprawił Napoleon: „Ten człowiek nie dokona już wielkich rzeczy, jest przybity i gnieździ się w nim choroba“.

Cesarz zazaądał, by Uniwersytet wybrał kogoś dla udzielenia mu objaśnień o Rosji. Wydelegowano niejakiego Krasowskiego, urzędnika kancelarji akademickiej. Ten biedak, zakłopotany i niezbyt dobrze znający język francuski, nie zawsze rozumiał zadawane mu przez Napoleona pytania. Gdy nie mógł odpowiedzieć na zapytanie, które z dwu miast rosyjskich, Witebsk czy Połock jest bogatsze, Napoleon zniecierpliwiony rzekł: „Daruję panu jedno z tych miast. Które pan wolisz?“ — „Witebsk. Najjaśniejszy Panie!“ — „To mi wystarczy, dowidzenia!“

CESARZ MÓWI.

„Kurjer Litewski“ z dnia 12 lipca 1812 ogłosił następującą relację urzędową, którą Litwa czytała z zapartym oddechem:

Dnia 11 lipca 1812 roku cesarz Napoleon raczył dać w Wilnie audjencję senatorowi Wybickiemu i Sobolewskiemu, Stanisławowi Sołtykowi, posłowi szydło-

wieckiemu, Władysławowi Tarnowskiemu, posłowi lubelskiemu, Ignacemu Stadnickiemu, posłowi koneckiego, Stanisławowi Aleksandrowiczowi, posłowi łosickiemu, Aleksandrowi Bnińskiemu, posłowi obornickiemu, Maciejowi Wodzińskiemu, posłowi brzeskiemu, deputowanym od konfederacji jeneralnej polskiej, dla złożenia hołdu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości. Prezentowani byli monarsze przez J. O. księcia Bassano, ministra spraw zewnętrznych. Prezydent deputacji, senator wojewoda Wybicki, przemówił do cesarza, na co monarcha temi pamiętnemi odpowiedział słowy :

„Mości panowie deputowani od konfederacji polskiej !

Tego, coście mi opowiadali, słucałem z uczuciem. Gdybym był Polakiem, myślałbym i czyniłbym jak wy. Na zgromadzeniu warszawskiem głośowałbym jak wy. Miłość ojczyzny jest najpierwszą cnotą człowieka cywilizowanego.

W mojem położeniu mam wiele interesów, które muszę z sobą godzić i wiele obowiązków, które muszę dopełnić ! Gdybym był panował w czasie pierwszego, drugiego i trzeciego podziału Polski, byłbym wszystkim lud mój uzbroił ku wsparciu waszemu. Jak długo mi zwycięstwa pozwalały wrócić waszej stolicy i niektórym prowincjom prawa wasze dawne, czyniłem to skwapliwie, bez przedłużenia jednak wojny, która byłaby jeszcze toczyła krew moich poddanych.

Kocham wasz naród. Od lat szesnastu widziałem obok siebie żołnierzy waszych na polach włoskich i w Hiszpanji.

Pochwalam to wszystko, coście uczynili. Co zawisło ode mnie, wszystko uczynię dla wsparcia przedsięwzięć waszych. Je ż e l i u s i ł o w a n i a w a s z e b ę d ą

zgodne, mieć możecie nadzieję zmuszenia waszych nieprzyjaciół do uznania praw waszych. Ale w tych stronach odległych i tak rozciąglých szczególnie na jednomyślności usiłowań wszystkich mieszkańców gruntować możecie nadziei waszych skutki. To samo do was przemówiłem, gdym się raz pierwszy na polskiej ziemi zjawił. Tu dodać muszę, iż gwarantowałem cesarzowi austriackiemu całość państw jego i że żadnego obrotu ani ruchu nie mógłbym upoważnić, któryby dążył do mieszania spokojnej jego posesji w prowincjach, jemu od Polski pozostałych. Niech Litwę, Żmudź, Witebsk, Połock, Mohilew, Wołyń, Ukrainę, Podole tenże sam duch, co w Wielkopolsce widziałem, ożywia, a Opatrzność pomyślnym skutkiem uwieńczy świętość waszej sprawy. Ona wam wynagrodzi to poświęcenie się dla ojczyzny, które wam powszechnie serca zjednało, którem nabyliście tyle prawa do mego szacunku i mojej dla was protekcji, a tej we wszystkich okolicznościach macie być pewnymi“.

ANTAGONISTKA NAPOLEONA.

Działo się dnia 6-go lipca 1812 roku. Chybki kurjer ze złocistą literą „N“ na czapraku przywiózł do Warszawy pierwszą depezę o zwycięstwie. Wielka armja przeszła Niemen, Napoleon zajął stolicę Litwy. I gadka zrobiła się odrazu, jakoby Imperator po przekroczeniu Niemna odezwał się do otoczenia: Przeszedłem tę rzekę jak Cesar Rubikon i zawsze mogę powtórzyć: *Alea iacta est.*

Co myślano o tem w Warszawie, opowie świadek współczesny: W słowach tych nie było tyle pychy, ile raczej trwożliwej niepewności, co dalej będzie? W on dzień w kościele OO. Dominikanów kazał o. Mateusz Drewnowski. Mówił o ucisku, jakiego doznaje Ojciec św., a z nim kardynałowie i cały kościół. Zakończył zaś swe kazanie wezwaniem wiernych do modłów za namiestnika Chrystusowego i za poniżenie kościołów. W parę godzin potem o. Mateusz został uwięziony. Co się z nim później stało — nikt się nie dowiedział. Nietylko jednak o. Mateusz był przeciwnikiem Napoleona.

Przy ul. Miodowej, która wówczas nosiła miano Napoleona, do większych gmachów zaliczał się pałac Tepfera, bankiera, znanego za St. Augusta. Pierwsze piętro tego pałacu z balkonem zajmował hr. Moszyński wraz z rodziną, drugie zaś jakowaś pani Karolina Okęc-

ka, wdowa po konfederacie barskim, a matka trzech synów, jednocześnie zmarłych na żółtą febrę w czasie pamiętnej wyprawy na San Domingo. Mówiono, że pani Okęckiej od tej pory rozum się pomieszał. Być może, iż rozpacz wywołała jakieś napady, ale Okęcka w pełnej świadomości występowała jako zawzięta nieprzyjaciółka Napoleona. Z powodu zbyt żywej agitacji antynapoleońskiej musiano ją nawet do pewnego stopnia ubezwładnić i oddać pod nadzór krewnym, z kazaniem wydalania się z mieszkania. Okęcka bowiem miała zwyczaj wypowiadać bez ogródek swe poglądy do przechodniów na ulicy i w różnych miejscach publicznych. Staruszka, niby Kasandra nowożytna, wróżyła upadek Napoleona i publicznie mawiała: „Zobaczycie, że Bóg go ukarze za pychę i za poświęcanie tej pysze osobistej tylu ofiar krwawych“.

Z rozpoczęciem kampanji 1812 r. prorocтва Okęckiej stawały się coraz częstsze, zaczęły władze odosobniły ją. Przypadek niewątpliwie zdarzył, że to odosobnienie uskuteczniło w domu, położonym przy ulicy, noszącej nazwę, nienawistną nieszczęsnej matce. Lokator pierwszego piętra, wspomniany hr. Moszyński, którego syn, Andrzej, był oficerem gwardji cesarskiej, urządził w myśl wezwania municypalności wspaniałą dekorację balkonu.

Od wczesnego rana robotnicy urządzali olbrzymi transparent z różnokolorowych lampek. Pod transparentem ustawiono popiersie cesarza, zdobne w laury. Czy Okęcka dowiedziała się od domowników, czy też sama domyśliła się, co hr. Moszyński przedsięwzię — dość, że w chwili ustawienia popiersia rzuciła z okna drugiego piętra jakiś ciężki przedmiot, który trafił w gipsowe popiersie i zdruzgotał je doszczętnie.

Tak Bóg złamię pychę jego! — wykrzykiwała Okęcka, i z trudnością zdołano ją od okna odciągnąć.

Tymczasem nadszedł wieczór i miasto zajaśniało wspaniałą iluminacją. Szczególniej zwracał uwagę ów transparent hr. Moszyńskiego. Po dniu upalnym wieczór był parny. Zbierało się na burzę. Tłumy się jednak nie rozchodziły, nie zawsze bowiem z chmur deszcz spada odrazu. Nagle oślepiająca błyskawica wypadła z chmur, a jednocześnie rozległ się grzmot straszny. Był to piorun, który uderzył w transparent i zniszczył go w jednej sekundzie.

Człowiek, poprawiający jedną z lampek w chwili uderzenia piorunu, doznał kontuzji i ciężkich poparzeń, ale nie zginął, tylko napis transparentowy zniknął, strawiony ogniem niebieskim.

Wrażenie miało być straszne. Naoczny świadek, Paweł Maliszewski, zmarły w 1858 r., opowiadał, że zdruzgotanie biustu przez Okęcką i ten piorun wywołały w całym mieście zabobonną trwogę. Przez wiele dni o wypadku mówiono, a gdy w zimie nadeszły wieści o pogromie armji cofającej się, o Moskwie, Beresynie, wreszcie o Napoleonie, wracającym smutnie do Paryża, przypominano sobie ów piorun, powtarzając, że był to zły znak niebios.

WIELKA REWJA POD SMOLEŃSKIEM.

Był to dzień imienin małego kaprała i chwila wielkiego zwycięstwa nad Rosją 15 sierpnia 1812 r. Pod Krasne wieczorem przybywszy (słowa wiarusa Gawrońskiego), ustawiono nasz korpus obozem w polu, na prawo wielkiej drogi czyli alei pięknej, brzożami wysadzonej; gdy się wkrótce dobrze już ściemniło, ujrzeliśmy na lewo tej alei, na pagórku odosobnionym, wielki wóz Wielkiej armji, w którym mnóstwo świateł i ogni nagle zajaśniało. Na bagnietach i lancach wiechy słomiane, zapalone te światła wydały, i dał się słyszeć krzyk: *Vive l'empereur!* Muzyki grały. Wojsko tym sposobem obchodziło imieniny Cesarza. Marszałek Ney, zabrawszy nieprzyjacielowi 12 dział i coś jeńców w pochodzie ku Smoleńskowi, posyłał je w podarunku do obozu, pod Krasne. Cesarz znajdował się w alei wielkiej. Ciemna noc była, gdy wojsko przed nim defilowało. Nie można go było dobrze widzieć, można było tylko używać pięknego widoku całego obozu w świetle i trofeów zdobytych. Wtedy zapominało się niedogodności obozowej.

Dnia 17 sierpnia zrana, zapowiedziano czyste ubranie, przygotowanie świeżych mundurów i chędożenie broni. Wystąpił cały nasz korpus. Ks. Poniatowski, na czele sztabu swego, oglądał pułki, polecał zachowanie

porządku i oświadczył, że tego dnia pewno cesarza ujrzymy i stoczymy walkę pod Smoleńskiem.

W godzin trzy marszu, w duże gorąco i kurz wielki, lecz w piękną pogodę, kazano spocząć. Słychać było huk dział zdaleka, od lewego skrzydła. Broń wzięto. Ks. Józef w wielkim mundurze, z wstęgą legji honorowej na wierzchu przejechał około maszerującego sekcjami korpusu, zalecił oczy mieć zwrócone w lewo. Wtedy nagle, wychodząc z lasku. ujrzeliśmy cesarza Napoleona, leżącego na ziemi, z głową, podpartą na ręku. Muzyki wojskowe zagrzmiały bębnami, każdy pluton, przechodząc, brał za broń, księżę pozostał na koniu przy leżącym cesarzu, a korpus dalej maszerował. Wkrótce ujrzeliśmy miasto Smoleńsk, atakowane już od rana i ogień mocny ze wszech stron.

Taki dzień, jak był ten, nie wyjdzie z pamięci!

Jeszcze korpus nie przeszedł był cały przez ów lasek, kiedy cesarz porwał się z ziemi, z miejsca, gdzie leżał, wsiadł na trzymanego obok konia i pośpieszył galopem poprzód czoło korpusu, idącego naprzód. Może tak o ćwierć mili od Smoleńska, przy jakiejś wiosce i folwarku, kazał cesarz stanąć korpusowi w linii bojowej. Generałowie zakomenderowali: broń w kozły i odpoczynek zwykły! Wokoło Smoleńska trwał ogień ciągle; cesarz rozmawiał wtedy przed frontem z ks. Józefem. Można mu się było dobrze przypatrzeć...

Jakaż to radość była widzieć go przed naszym frontem! Mnie się wtedy zdawało, że gdyby mi był rozkazał wkręcić się w ziemię lub samemu pójść zdobywać twierdzę Smoleńsk, lub w Dniepr, obok płynący, wskoczyć, bez żadnego namysłu byłbym wnet skuteczniał rozkaz; taki miał urok, taką ufność rozbudzał! Jeśli takim uczuciem bywało przejęte całe wojsko,



KS. JÓZEF ZE SZTABEM

Wojewodzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

jakże nie miało zwyciężyć!? Ale nie byliśmy jeszcze w ciężkim boju, który się dał wkrótce uczuć. Po krótkiej z ks. Józefem rozmowie i naszym niedługim spoczynku zabębiono do wstawania i wzięcia broni; cały korpus znowu pod bronią i przed Napoleonem — jakież to był zapal!!

Ponieważ nasz pułk — opowiada inny świadek tej chwili, Białkowski — zamykał lewe skrzydło naszej piechoty, przeto po przeciągnięciu, zatrzymałem się nieco i uważałem, jakie będzie rozstawanie się cesarza z Poniatowskim. Cesarz leżał na trawniku, podparty na prawej ręce, a niezbyt daleko stał Poniatowski. Sztab zaś liczny, złożony z kilku marszałków, generałów i mnóstwa oficerów, stał opodal, najmniej o sto kroków. Gdy się skończyła nasza defilada, cesarz, podniósłszy się z ziemi, zbliżył się do Poniatowskiego w dowód swego zadowolenia, podniósł prawą rękę i z góry położył ją na ramieniu Poniatowskiego, który ciągle prawą rękę trzymał przy kaszkiecie na znak salutowania. Mówił coś ciągle do Poniatowskiego, a wiadać było, że mówi coś pochlebnego, bo Poniatowski często powtarzał ukłony, a cesarz powtarzał częste p ramieniu uderzenia. Gdy się te wzajemne grzeczności skończyły, Poniatowski cofnął się tyłem, kilkakrotnie znowu salutował, a wkońcu, zwróciwszy się zgrabnie, jak gdyby w kadrylu, podskoczył. Gdy mu podano jego ulubioną karą klacz, dosiadł ją lekko i dał kilka szczupaków tak, że klacz zadniemi nogami wyrzuciła piasek, który padł nieopodal cesarza.

Napoleon patrzył za Poniatowskim, a uśmiechnąwszy się, powiedział coś do swojej świty, która jak wyżej zaznaczyłem, opodal z odkrytymi głowami stała. Na odezwanie się jego, kilku marszałków, star-

ców już osiwiących, rzuciło się najprędzszym pędem, prawie młodzieńczym, dla odebrania może jakiego polecenia. Od czasu, gdy ostatni raz widziałem cesarza, znalazłem go znacznie otylszym. — Był ubrany w mundur strzelców konnych gwardji, w spodniach białych i butach długich. Zdawał się być bardzo dumny. Mówiono wówczas, że Poniatowski podczas opisanej przeze mnie rozmowy miał proponować cesarzowi, aby dalej się nie zapuszczał, ale rozpostarł wojsko po prowincjach już zajętych.

Inny żołnierz napoleoński opowiada o zajściu, które rozegrało się w przeddzień bitwy pod Smoleńskiem między Napoleonem a ks. Józefem w głównej kwatery, w Iwanowskoje. Książę — jak mówiono — pojechał tam po rozkazy na dzień następny czy też dla zatarcia wrażenia złego, jakie wywarły skargi poprzednie i uzalania księcia na brak żywności, pieniędzy i t. p. oraz jego współudział w błędach, popełnionych przez Hieronima. Napoleon jednak odparł wówczas jego skargi w sposób cierpki i niesłychany. List, napisany przez cesarza z Wilna 9-go lipca, wpadł w niedyskretne ręce i krążył po obozie, a treść jego była następująca:

„Mon cousin! Répondez au prince Poniatowski, que vous avez mis sa lettre sous les yeux de l'empereur, que S. Majesté a été très-mécontente de savoir, qu'il parle de solde, de pain, lorsqu'il s'agit de poursuivre l'ennemi; que S. Majesté a été d'autant plus surprise, qu'il est seul de son côté avec peu de monde et que, lorsque les gardes de l'empereur, qui sont venus à Vilna à marches forcées de Paris, au lieu d'avoir demi-ration, manquent de pain, n'ont que de la vian-

de et ne murmurent point. L'empereur n'a pu voir qu'avec peine, que les Polonais soient assez mauvais soldats, et aient assez mauvais esprit pour relever des pareilles privations, et que S. Majesté espère, qu'elle n'entendra plus parler de cela“.

Książę, w towarzystwie szefa sztabu, generała Fiszera, wielu generałów i adjutantów, zastał cesarza przy ogniu biwakowym. Po dość przyjaznem przywitaniu zapytał cesarz o siły korpusu, a gdy się w nim okazały znaczne braki skutkiem niedostatku, pochodów i trudów, zapytał cesarz, zwracając się żywo do generała Fiszera: „*Mais F...! où avez-vous laissé votre monde?*“ „*Sire*“, odpowiedział generał Fiszler, „*le manque des vivres, les fatigues, les*... „*Bah*“, przerwał mu cesarz, „*vous me chantez toujours la même antienne! Paurquoi les autres corps n'ont-ils pas laissé la moitié de leur monde en route? — Mais je sais bien, d'où cela vient: vous tous n'êtes bons qu'avec vos p..... à Varsovie.*

Inni utrzymywali, że cesarz powiedział: „z waszemi tancerkami“. I na tem skończyło się przyjęcie.

Kiedy po wspomnianym przeglądzie wojska nastąpił pewien rodzaj pojednania. Książę raz jeszcze udał się do cesarza w towarzystwie marszałka Davoustta. Miał wtedy zwrócić cesarzowi uwagę, że jego korpus przy wielkiej armji marnuje się, gra nieznaczną rolę, a mógłby stać się nieskończenie pożytecznym, gdyby go zwrócić na Kijów. Gdy cesarz odrzucił ten plan, książę zaczął usilniej nastawać i starać się przekonać o jego pożyteczności, a ukląkłszy wreszcie przed cesarzem, prosił go o pozwolenie na ten pochód. Rozgniewało to tylko cesarza i zadziwiło.

Według najpewniejszych wiadomości, odwrócił się i zagroził, że go każe rozstrzelać, gdyby wbrew jego woli zdecydował się na wymarsz.

Pod Smoleńskiem były dwa zdarzenia, godne pamięci. Adjutant bataljonu pierwszego pułku 16-go piechoty, widząc, że pomimo pochlebnego przedstawienia przez swego pułkownika, ks. Konstantego Czartoryskiego, został pominięty, zbliża się do Napoleona i rzecze:

— *J'ai fait mon devoir comme les autres; Votre Majesté a récompensé tous ceux, qui ont mérité une mention favorable et à moi elle n'a rien accordé.*

Cesarz mu na to:

„*Tu es jeune, tu auras encore le temps de mériter toutes les récompenses*“ — i powiedziawszy to, dalej postępował. Kiedy adjutant spostrzegł, że cesarz mija już lewe skrzydło bataljonu, zastąpił mu raz jeszcze drogę i ponowił swoją prośbę z naleganiem. Cesarz mu odpowiedział, jak pierwaj, ale żywiej i z niejakiem zdziwieniem. Zmartwiony adjutant postępował z cesarzem, a gdy już cesarz zupełnie pułk mijał, podskoczył, zatrzymał go prawie za poję munduru, mówiąc z uniesieniem:

„*Tous mes collègues se glorifient des récompenses dont V. M. les a honoré: moi seul je suis condamné au silence; j'ai pourtant été partout où le devoir m'appelait, toujours à la tête là, où il fallait agir et affronter le danger — et je suis oublié; l'on dira, que je n'étais pas de cette bataille, où que je me suis mal conduit, que je suis une lâche! voilà ce qu'on dira*“.

Cesarz, stanąwszy przed nim, wpatrywał się i mierzył go oczyma, a po niejakiem milczeniu wziął go za faworytę i rzekł:

„*Allons — voilà un brave! — a zwróciwszy się do świty: „légion d'honneur accordée“.*

Drugie zdarzenie następujące. Cesarz, otrzymawszy od pułkownika zaszczytne świadectwo dla jednej ze środkowych kompanij jednego pułku, rozkazał zapisać krzyż legji honorowej dla dowódcy, co usłyszawszy, tymczasowy dowódca, porucznik, przystąpił do cesarza i rzekł:

— *Sire, la récompense, que vous m'accordez, ne m'appartient pas; c'est au capitaine, qui nous a commandé, qu'elle est due.*

Cesarz zdziwiony:

— *Et où est donc le capitaine?*

— *Blessé, à l'ambulance.*

Ten postępek porucznika tak wzruszył obecnych, że generałowie, stojący za cesarzem, klasnęli w ręce. Sam Napoleon milczeniem zdradzał wzruszenie, a porucznik w skromnej i szlachetnej postawie stał przed cesarzem, oczekując wyroku. Obydwaj zostali ozdobieni.

Generał Dembiński opowiada w swoich pamiętnikach:

...„Trzeciego dnia (po bitwie pod Smoleńskiem), po południu, kazano nam wystąpić przed cesarzem, przybywał on do korpusu naszego dla rozdawania nagród, o czem ledwie wiedziałem, tak byłem w smutku pogrążony po stracie brata; gdy raptem wywołują mnie z szeregów, przed cesarza. Napoleon mówi do mnie: „*Qui êtes vous?*“ — odpowiadam: „*Je suis le lieutenant Dembiński*“. „*Eh bien, je vous nomme capitaine*“, i dalej ruszył koniem dla rozdawania nagród niższym stopniom; gdy w tem nagle obraca konia, wraca naprzeciw mnie i jeszcze raz zapytuje: „*Qui êtes vous?*“ —

ja, myśląc, że zapomniał, odpowiadam: „*Je suis le lieutenant Dembiński*“ Cesarz na to: „*Mais non! vous êtes capitaine, car je viens de vous nommer*“. Może być, że myślą jego było nadać mi jeszcze wyższy stopień, gdyż to było w jego zwyczaju. Opowiedziano mi bowiem, jak się rzecz miała, t. j. że jak cesarz przyjechał przed pułk, zapytał się Fredry, który chorego Kurnatowskiego zastępował, jaki jest w pułku wakans, a gdy mu ten powiedział, że brakuje szefa szwadronu, zapytał się, kogo na ten stopień przedstawia, ten wymienił kapitana Komeckiego, którego cesarz, gdy przed nim stanął, szefem szwadronu mianował, a gdy cesarz zapytał, kogo na miejsce kapitana przedstawia, Fredro najstarszego porucznika Kręmarkiewicza wymienił. Cesarz na to:

„*Eh bien, qu'il vienne ici*“. „*Mais Sire, il n'y est pas!*“ Cesarz: „*Où est il?*“ — „*Il commande le dépôt à Varsovie*“. Cesarz z gniewem: „*Comment, foudre! vous voulez me faire avancer un homme, qui ne s'est pas battu, je veux récompenser un brave, allons! le plus brave ici*“ — i wtedy jakoś wszyscy obecni mnie wymienili“.

O innym zajściu przy dekoracjach wspomina kapitan H. Brandt:

„22 sierpnia (w Smoleńsku) odbył cesarz przegląd gwardji i naszej dywizji na placu parady. Cesarz zrobił przegląd naszej dywizji jeszcze dokładniej niż gwardji, wyraził nam swoje zupełne zadowolenie, ale trzeba przyznać, żeśmy bardzo dzielnie wyglądali. Ci, którzy mieli awansować, byli wywoływani głośno przez pułkowników. Cesarz podszedł ku nam, którzy w liczbie czternastu, wystąpiwszy z szeregów, staliśmy rzędem. Doszedłszy do mnie, zatrzymał się, spojrzał na mnie,

wziął za guzik od munduru, pociągnął ku sobie i rzekł:

— *Celui-ci devait être déjà nommé capitaine à Paris — faites le nommer capitaine adjutant-major.*

Z tą nominacją związane było prawo otrzymania po upływie 18-tu miesięcy stopnia oficera sztabowego.

— *Faites les reconnaître* — powiedział cesarz.

Kiedy pułkownik dokonał ceremonji, zaczął cesarz iść przed frontem wojsk. Zobaczywszy dekorowanego sierżanta Kluska z trzema szewronami i znakiem 20-letniej służby, zapytał:

— Jak się to stało, że on dotąd nie jest oficerem?

— Najjaśniejszy Panie, nie umie czytać ani pisać.

— *C'est égal — ces pauvres gens non-lettrés dont personne ne veut, sont souvent les meilleurs officiers; faites le porter aigle et s-lieutenant des grenadiers. Je suis bien sur qu'il n'a pas été le dernier aux assauts de Saragosse.*

I tak stary sierżant, który zwykle budował baraki dla sztabu, został nagle oficerem. Pomimo to jednak nie dał sobie odebrać tej czynności i pełnił ją zawsze z równą gorliwością.

W 3-ciej kompanji porucznik Nowakowski przemówił do cesarza, skarżąc się, że nie został dotąd awansowany na kapitana, co jednak spotkało młodych oficerów.

— Dlaczego się tak stało? — zapytał cesarz.

— Sire, — odparł pułkownik — *il n'a fait qu'une campagne en Espagne, pendant que les promis ont été toujours présent au regiment.*

Cesarz, nic nie odpowiedziawszy, poszedł dalej. Po skończonym przeglądzie przedefilowaliśmy przed cesarzem. Nie wiem, jakim sposobem dowódca pierwszego bataljonu źle zrozumiał komendę, zwrócił się

w mylnym kierunku i zapędził się tak daleko, że cesarz musiał się cofnąć o kilka kroków przed nim.

— *Mais, diables!* — zawołał — *que me veulent-ils donc?*

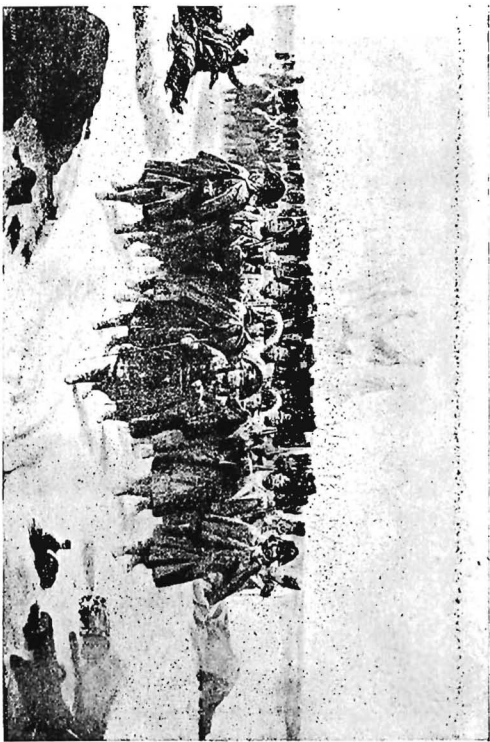
Po wyjściu z promienia obecności cesarskiej, wszyscy rzucili się na nieszczęśliwego oficera.

— Byłbym cię skazał na dwa tygodnie aresztu, — powiedział generał Chłopicki — gdyby był cesarz nie zwrócił uwagi na twoją niepojętą głupotę.

Jakże inaczej wyglądała wielka armja w tym samym Smoleńsku w czasie odwrotu!.. W Smoleńsku mróz dwunastodniowy, ściskając ciała już bezsilne, gubił wielu ludzi. Widziałem — mówił G a j e w s k i — tego dnia cały biwak zmarzniętych i marznących. W Krasnem ocaliła nas odwaga młodej gwardji, która odsadziła atakującego nieprzyjaciela. Nazajutrz, w nocy, wystąpił Napoleon do bitwy przede dniem, mając tylko piechotę z dwoma bataljonikami starej gwardji, i tak wytrzymał kanonadę czas niejaki, dopóki Davoust nie zastąpił miejsca.

W korpusie cesarza byliśmy jeszcze szczęśliwi w porównaniu z tem, co awangardy doznawały. Dla ślizgoty konie nie mogły się utrzymać na nogach. Napoleon dość długo szedł piechotą. Właśnie na stawie, wychodząc z Krasnego, spotkał się z Poniatowskim. W Orszy miałem możność rozmowy z Napolenem w następujących okolicznościach. Gdy dla przesadzzonego nieporządku w armji mimowolnie w izbie służbowej uniosłem się z wielką żywością, zbliża się do mnie Duroc. Czuję, iż w stosunku, w jakim zostajemy, idzie o całość ogólną, i zapytuje, czyli nie mógłbym myśli swoich przedłożyć najjaśniejszemu panu? Odpowiadam: „Abym tylko miał zrzętność, to się nie cofnę“.

Wojewódzka
Biblioteka
publiczna
w
Poznaniu



ODWROT

Wspólnie tedy z nim i z wielkim koniuszym Caulaincourtem, który nadszedł i wyrozumiał sprawę, naradzamy się o sposobności przedstawienia uwag moich cesarzowi. Nadarza mi się przystęp prawie w tymże momencie. Korzystam z tego i mówię w te słowa do cesarza: „Iż mniej powinny zatrudniać W. Cesarską Mość wiadomości, powzięć się mogące od nieprzyjaciela, jak nieporządek i zbytki, które w naszym obozie się dzieją.“ Napoleon siedział między wicekrólem, marszałkiem i rzekł do nich: „Ma rację“. Tem silniej przekładać zacząłem nieszczęścia, których możnaby jeszcze uniknąć, gdyby był porządek. Przyłączam przykład wozów amunicyjnych, uwożących, zamiast ładunków, łup z Moskwy. W tem przez poruszenie osoby w grubej framudze okien klasztornych poznałem stojącego Rybossiera, głównego komendanta artylerji, dla którego miałem wdzięczność jako i rzetelny szacunek z powodu grzeczności jego dla mnie. Zdjął mnie żal na ten widok. Przerażony własną wymówką, iż oskarżyłem godnego starca, tak dalej mówię: „Słabość generała od niejakiego czasu nie dozwala mu wglądać w rzecz, którą winowajcy starają się kryć przed obcymi. Straciliśmy armaty, uwożąc bagaże, próżne zatrudnienia nam tylko przynoszące, więc te, jako niepodobne do uwiezienia, należałoby spalić“.

Powtórny wyraz twarzy cesarza, dający mnie rację, pokrzepia coraz silniej zapędy moje.

Nagle przerywa mnie Napoleon zapytaniem, którądybym radził dążyć do Wilna, czyli na Mińsk, czyli na Smorgoń, i gdziebym mu życzył zająć kwatery zimowe?

— W Galicji, u teścia, rzeknę, Najjaśniejszy Panie! Nie żałując ofiary z Triestu i Fiumy, może i Tyrolu,

które w posagu napowrót, przy spokojnym czasie. winny nam się powrócić. Najrzęczniejszą będziemy mieli zimówkę jako i wstęp na wiosnę od Brodów i Kamieńca do świeżej rozprawy z Rosją. Karpaty dają nam silne plecy, a Węgrów przyjaźń, wino i konie zapewnia złoto. Księstwo warszawskie zaś nie może nam pochlebić żadnym środkiem, pokrzepiającym siły, okrom dobrych żołnierzy, których i tak dostarczy. Szwarzenberg zasłaniać nas będzie, szczerze się bijąc, lub przynajmniej gasić ogień od Galicji. A marszałek Wiktor i Grenier, zapewniając północ i Litwę, nie dozwolą głębiej w Polskę wcisnąć się nieprzyjacielowi i dadzą nam porę odetchnienia i opatrzenia siebie. Co zaś do wyboru marszu, czyli na Mińsk lub Smorgonję, nie umiem nic powiedzieć, gdyż najmniejszego wyobrażenia nie mam o obrotach tymczasowych wojsk w tyle, za nami będących“.

Kiwnął Cesarz głową, znów powtarzając, że mam rację i nakazuje, by mu podano konia. Jedzie do obozu i tu z przeprowadzających się bagażów każe ognisko czynić. Szukam mego powozu, bym go na ofiarę puścił, lecz człowiek mój, ciżbą zajęty, przeciągnął był już przez Orszę. Skończyła się rzecz na niedołącznym spaleniu kilkudziesięciu wozów, które w takim gmachu nie czyniły żadnej różnicy, prócz przykrości, uczynionej tym, których ten ogień szczególnież zajął. Najwięcej, podług szczęśliwej wszystkim nam gwiazdy, polskich wózków spłonęło.

ODWRÓT.

Pułkownik Franciszek Gajewski był jednym z tych, którym udało się wrócić z pod Moskwy. W prostych, żołnierskich słowach opisuje on odwrót wielkiej armji:

„Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci widok owych nieszczęśliwych żołnierzy, przed kilku tygodniami jeszcze pełnych zapału i energji. Przyodziani w najosobliwszy sposób, w szaty jakiej bądź płci i stanu, byle tylko mogły ich osłonić od mrozu dokuczliwego, byliby pobudzili do pustego śmiechu w innych okolicznościach. Otóż wlokło się kilkanaście tysięcy takich istot nieszczęśliwych, przemarzniętych i zgłodniałych; żadnego piętna nie zatrzymali ludzkiego prócz powierzchowności. Oczy powychodziły im nadzwyczajnie z głowy; warstwą brudu i dymu powleczeni, nie zatrzymali nawet barwy, skóry ludzkiej właściwej. Wzrok ich był dziki, twarz wychudzona, wszyscy niejako osłupieli, każdy milczał, a zdawał się niczem nie zajęty.

Długo kolumna taka postępowała milcząco ku Smoleńskowi, a następnie ku Wilnu. Gdzie końskie ścierwo leżało, czy dopiero co padłe, czy zwierz zdechł w pochodzie naszym do Moskwy, tam się rzucało kilkadziesiąt nieszczęśliwych, rozrzynali obrzydliwą strawę na kawałki i pożerali surową. Żadnego apelu ni komendy nie słuchali, wszystkie stopnie hierarchji znikły,

każdy był tylko sobą zajęty. Zebrani w gromadę po kilkunastu, a nawet po kilkudziesięciu, postępowali od rana do późnej nocy, ile sił każdemu starczyło. Który z nich padł, temu żaden nie dopomógł do powstania. Każdy go mijał obojętnie, pozostawiając losowi. Co więcej, znajdowali się tacy, którzy konającego odzierali z odzieży, okrywając własne członki łachmanami, nie zważając wcale na jego jęki i złorzeczenia. Wieczorem zatrzymała się owa kolumna, gdy się gwiazdy ukazały. Co było drzewa w okolicy, budynek czy płot, rozbie-rano na ogień, nie zważając, że w domostwach znajdowali się generałowie albo ranni; a jeżeli zgrają taką odpędzili chwilowo mieszkańcy, palono domostwo, i czę-stokroć ginęli w płomieniach także ci, którzy chwilo-wego spoczynku pod dachem szukali. Po rozpaleniu ogni, szukał każdy sposobu do uśmierzenia głodu; naj-częściej służył do tego kawał ścierwa końskiego, nie-kiedy pies albo jakie bądź zwierzę, co tam pod rękę wpadło. Byli tacy, którzy mieli mieszek mąki, pilnie strzeżonej, ci rozpuszczali nad ogniem śnieg w kociołku, sypali garść mąki do wody wrzącej, dodawali do niej parę nabojów prochu i spożywali łakomo ten rodzaj czerniny. Ów kłajster obrzydliwy stawał się przedmio-tem zazdrości wielu innych, a częstokroć płacono 20-ścia franków i więcej za porcję tego przysmaku. Ja sam zapłaciłem pod Krasnem, już za Smoleńskiem, 20-ścia franków za mały kieliszek wódki; pod Wiaźmą schwyciłem kota, zabiłem, ociągnąłem, upiekłem i spo-żyłem jako kąsek najwyborniejszy.

Zaspokoiwszy głód, ugasiwszy pragnienie śniegiem roztopionym, kładła się owa tłuszcza naokoło ognisk w ten sposób, że jeden kładł głowę na nogi drugiego; tak utworzywszy koło naokoło ognia, zasypiali owi nie-

szczęśliwi, zapominali na chwilę o cierpieniach. Każdej nocy umierało wielu, ci już przestawali cierpieć.

Zdarzało się często, że śnieg przykrył wielkim całunem wszystkich; żaden się nie ruszył z miejsca; nikt nie byłby się domyślił, że kilkanaście żebraków koczuje na owem polu; wszyscy leżeli w niejakim rodzaju odrętwienia. Nie było straży, coby ich pilnowała, nie było dowódcy między nimi; tym ludziom już wszystko było obojętne; wiedzieli, że się nie wydobędą z położenia swego. Nad ranem podnosili się; ile kto pozostał przy życiu. Nie potrzebowali ni bębna, ni trąbki do odebrania hasła; kto mógł, ten wstawał razem ze świtem, chwycił za kij i ruszał dalej. W tym okropnym czasie ustały wszelkie uczucia przyjaźni i życzliwości; kto by się rozrzewnił nad losem kolegi, przepadł. Kto pragnął uratować własne życie, ten potrafił minąć nawet rodzzonego brata, choć siły ustawały, a spieszyć czemprędzej dalej. Siła fizyczna stanowiła o wszystkim; różnica stopni wojskowych już nie miała żadnej wartości. Złoto było niczem, kęs chleba skarbem nieocenionym. Zdarzały się wypadki, że włóczęga włóczęgę obdzierał nawzajem; w tym przypadku powstawał bój zacięty, kończący się często śmiercią jednego z nich; inni mijali obojętnie zapaśników. Powszechnie hasło u wszystkich było: „jeść!“

Taki sam niedostatek żywności panował wśród jazdy; słoma z dachów, która nawet była bardzo rzadka, bo kozacy palili, stała się pokarmem wielu pułków konnych i wielu bateryj. Oczywiście, że konie opadły z sił w tym niedostatku; porzucano zatem najpierw bagaże, następnie wozy amunicyjne, a wreszcie i armaty. Konnica zjadła konie swoje. Począwszy od Możajska, widziałem armaty, pozostawione na trakcie, a nie-

ustanne wysadzanie w powietrze wozów prochowych przekonywało o niemożności uprowadzenia ich.

Wojsko, pozostające pod bronią, dostawało resztki żywności, uprowadzonej z Moskwy i było przedmiotem pieczołowitości cesarza. Mianowicie gwardja pobierała regularnie żywność aż do Smoleńska, gdzie znów zaopatrzona została we wszystko na dwa tygodnie. Konie artylerji i konnicy gwardji dostawały, począwszy od Możajska aż do Smoleńska, po jednym garncu owsa dziennie. Wszakże niegodziwy zwyczaj kucia koni u Francuzów, nie zostawiających oceli przy podkowach, spowodował wielkie straty nawet i w gwardji. Kawalerja linjowa zniknęła zupełnie, konie padały z powodu całkowitego niedostatku furażu, a w miarę padania były natychmiast rozściartkowanywane i zjadane; jeździec odpinał mantelzak i przyłączał się do maroderów; w parę dni tracił powierzchowność żołnierza, stawał się takim jak inni.

Pierwszym celem zabiegów moich było mieć zawsze kibitkę moją zaopatrzoną w żywność i obrok, a dlatego rzadko kiedy doznawałem niedostatku. Porwałem w Werei trzy worki jęczmienia, przeznaczonego do pułku strzelców konnych, które ukryłem w mojej kibitce. Pod Możajkiem, widząc niepodobieństwo uprowadzenia owego pociągu, przewiesić kazałem dwa worki tego zboża na koniu, jeden już spałem. Ordynansa mego nigdy nie puszczałem samego z obawy, ażeby się nie zabłąkał. O służbie nie było już mowy, cała dywizja generała zniknęła, kilkudziesięciu oficerów z tej dywizji przyłączyło się do generała, to było wszystko. Pod Wiażyną przekonałem się, że nie wystarczy z obrokiem do Smoleńska, kazałem zabić jednego konia, którym się podzieliłem z kolegami. Ordynansowi kazałem

mieć staranie o siebie, sam zaś, zabrawszy resztę jęczmienia na konia, pozostałem przy moim generale. Chastel tak samo uczynił; kazał spalić swój furgon, a zaprząwszy do sani opuszczonych dwa najdzielniejsze konie, zabrał w ten sposób, co miał najkosztowniejszego; na trzeciego konia wsiadł, sądząc, że bezpieczniej mu będzie razem z nami aniżeli samemu w saniach.

Pod Dorohobuzem dla konia mego miałem jeszcze cztery garnce jęczmienia, dałem mu je w całości, sam zaś wyprosiłem sobie od Bawarczyków kawał psa, którego zabili i posiliłem się tą pieczeńią. W życiu mojem nic mi się nie wydawało równie smaczne. Umówiłem się z generałem Chastel, że wyprzedzę go do Smoleńska, aby mu zawczasu przygotować jaką taką kwaterę i żywność. Dnia 5 listopada puściłem się do Smoleńska z porucznikiem Lambertem, adjutantem generała Grouchy. Był to nieoszacowany kolega, nie opuszczało go nigdy wesołe usposobienie, nawet w smutnem położeniu naszym. Przekonawszy się, że musimy koniecznie stanąć w jednym dniu w Smoleńsku, chcąc uniknąć niechybnej śmierci przy inrozie, dochodzącym 26 stopni, pogodził się z tą perspektywą, tem smutniejszą, że nie posiadał futra, tylko płaszcz kolisty. Puściliśmy się zatem kłusem z Dorohobuża o wschodzie słońca dnia 6-go listopada. Dotąd dziwię się, że Lambert był w stanie wytrzymać straszny mróz bez futra. Jechaliśmy dobrym kłusem, dopóki sił starczyło, następnie biegliśmy pieszo dla rozgrzania się znowu kłusem; i tak naprzemian bez wytchnienia do wieczora. Któż pojmie rozkosz naszą na widok wież Smoleńska! Już nas siły upuszczały, głód straszny nam dokuczał, a konie, lubo wytrzy-

małe, widocznie ustawały. Wieże obiecane miasta, lśniące się przy zachodzącem słońcu, podwoiły nasze męstwo; batog kozacki wydobywał resztę sił z koni. „Vivat!“ zawołałem, wjeżdżając przy gwiazdach do Smoleńska“.

O rozrzewniającym, choć wyjątkowym wypadku subordynacji żołnierskiej w czasie odwrotu opowiada w swych pamiętnikach gen. Roman Wybranowski:

„Gdy marszałek Davoust objeżdżał plac boju po bitwie pod Małojarosławicami (24 października 1812), jakiś człowiek, obłany krwią, podnosząc się z pod kupy trupów, odezwał się temi słowy: „Koledzy, czyż dacie mi umrzeć bez żadnej pomocy?“ Był to pułkownik Kobyliński, adjutant Davousta, o którym sądzono, że w zamieszaniu bojowem dostał się do niewoli. Natychmiast eskorta marszałka z broni, leżącej na pobojowisku, zrobiła nosze i oddano rannego staraniom lekarzy wojskowych. Chirurg, obejrzwawszy ranę, dał wzrokiem poznać marszałkowi o grożącym wielkiem niebezpieczeństwie. Po naradzie lekarzy zdecydowano, że pułkownik Kobyliński nie może być inaczej uratowany jak przez amputację nogi, którą kula armatnia do kolana urwała. Co żywo wzięto się zatem do tej bolesnej operacji. Los Kobylińskiego mocno zajmował marszałka. Zatrzymawszy się w marszu przed kompanją grenadjerską, temi słowy przemówił do żołnierzy:

— Żołnierze! Mój adjutant, pułkownik Kobyliński, utracił nogę od kuli armatniej. Jako Polak nie powinien zostać w rękach moskiewskich. Wam go oddaję i polecam waszym staraniom i honorowi. Pilnujcie go jak waszej chorągwi!

W kilka minut pułkownik Kobyliński, umieszczony na noszach, znalazł się pośrodku tej kompanji, a ciągle



FRANCUZI W WILNIE

Wojewódzka
Biblioteka
publiczna
w
Poznaniu

starania i przychylność żołnierzy w ciągu całego marszu karmiły go nadzieją, że jeszcze przyjdzie do zdrowia.

Przez kilka pierwszych dni odwrót odbywał się w dobrym porządku, lecz w miarę wzrastającego zimna głodu i braku wszystkiego, pokazywały się już początki strasznej dezorganizacji i nędzy. Kompanja grenadjerska szła zwolna i prawie sama jedna zachowując porządek, otoczona niedobitkami armji. Co chwila musiano się zatrzymywać i formować około rannego kółko, dla odpędzenia kawalerji nieprzyjacielskiej. Nawet po kilkutygodniowym marszu, w największej biedzie i nędzy, wierni grenadjery nie chcieli słuchać prośb samego pułkownika, który widząc tyle ich poświęcenia a nie mając nadziei wyzdrowienia, błagał ich ze złożonemi rękami, ażeby go na drodze zostawili.

— Mój pułkowniku — odpowiedzieli starzy wążsacze — żywego lub umarłego musimy cię jemu oddać; taki bowiem mamy rozkaz marszałka!

Biorąc sam udział w tej nieszczęśliwej i okropnej kampanji, byłem naocznym świadkiem, jak owego nieszczęśliwego pułkownika niosła w marszu całym kompanja grenadjerska; przy niej kapitan, dwóch oficerów, doktor i felczer. Pułkownik leżał na noszach, zrobionych naksztalt mar, otulony piernatami, sześciu żołnierzy go niosło, odmieniając się często między sobą. Nieraz tę karawanę w marszu spotykałem i dziwiłem się ich heroicznemu poświęceniu, tem bardziej, że to nie o Francuza chodziło, lecz o naszego rodaka.

Tymczasem coraz większe mrozy, śniegi, głód i nędza, jakiej nawet trudno sobie wyobrazić, tak zmniejszyły bohaterską kompanję, że zbliżając się do Wilna ledwie pięciu grenadjerów z niej zostało którzy

kolejno nieśli nieszczęśliwego pułkownika. Nareszcie wyszedłszy na górę, ujrzeli z niej szeregi murowanych domów.

To było Wilno, ta ziemia obiecana, pełna tylu pożądanych rozkoszy: spodziewanej garści słomy i kawałka chleba. Radość potęgowała siłę pięciu ostatnich. Lecz tak byli osłabieni, że trzech padło bez zmysłów zaraz u bram Wilna, a wkrótce po nich czwarty. Ostatni tylko, z największym wysiłkiem walcząc, nie odstępywał nieszczęśliwego pułkownika. Nie mogąc go nieść sam jeden, ciągnął z góry nosze za sobą i tak dowlókł się do miasta. Tutaj dopomogli mu żołnierze i wkrótce znalazł się przed małym domkiem, gdzie była kwatera Davousta. Doniesiono z dumą marszałkowi, że kompanja grenadjerów, której powierzył pułk. Kobylńskiego spełniła rozkaz i zgłasza się do raportu. Marszałek, usłyszawszy to, wyszedł przed dom.

— Gdzie mój adjutant? — pyta.

— Tu! — brzmi odpowiedź.

— A kompanja?

— Tu, panie maszałku.

— Pytam o kompanję?

— Tutaj! rzecze grenadjer, wskazując na siebie.

— A twoi koledzy?

— Zostali w śniegach!

Marszałek ze łzami w oczach uściskał wiarusa, którego nazwiska historia nam nie przekazała.

„SIEBIE WPIERW ZARĄBAĆ POZWOLIM!”

Opowiada kapitan Kulesza:

„Po straszliwej przeprawie pod Berezyną zostało wojska wyborowego tylko czternaście tysięcy... Oskrzydłało ono i broniło jedynie osoby Napoleona, ale niebezpieczeństwo wzrastało co krok i zbyt się już groźnie zaczęło przedstawiać.

W Smorgoniach przeto, stanąwszy na noc z najpoufalszymi swymi towarzyszami, złożył cesarz naradę, jakim sposobem wyślizgnąć się może z rąk nieprzyjaciela. Stańło na tem, że cesarz ma dowództwo nielicznej armji zdać na Murata, sam zaś w towarzystwie Duroca i Caulaincourta z ulubieńcem swoim, mamelukiem Rustanem, niepostrzeżenie wymykać się z zastawionych sieci i dążąc przez pruskie prowincje, do Paryża pospieszać. Że jednak bez żadnej straży puszczać się tak na los szczęścia nie było bezpiecznie, należało z owego wyborowego wojska, które tyle trudów przetrwać zdołało, uczynić jeszcze wybór samego czoła, ludzi najdzielniejszych, ku obronie cesarza. I kogóż dla ubezpieczenia własnej osoby wybierać? Oto przeznaczają na eskortę dwa oddziały ułanów polskich! Jeden z gwardji Kruzińskiego, drugi nasz, z pułku Konopki, pod mężnem dowództwem Stokowskiego. Byliśmy prawdziwie dumni z tego wyboru;

wieczorem oznajmiono nam rozkaz, nazajutrz przede dniem, mimo 28-mio stopniowego mrozu, staliśmy już w pogotowiu.

Dokładniej przedstawia sprawę Bourgoing.

Cesarz — pisze on — przybył do Smorgoń 23 listopada (5 grudnia) o godzinie drugiej po południu. Wieczorem dnia tego, wezwawszy do siebie adjutanta, spytał go, czy od chłodu dobrze zabezpieczony i otrzymał odmowną odpowiedź, rzekł mu krótko: „Dam panu buty futrzane i szubę niedźwiedzią; pojedziesz pan natychmiast do Wilna z Caulaincourtem. Spiesz się pan i zachowaj wiadomość przy sobie“.

Odjazd cesarza nastąpił o godzinie 8-mej wieczorem. Stanęły do drogi trzy karety i jedno sanie. W pierwszej karecie na dwa miejsca, w znanym dobrze całej armii ekwipażu Napoleona, siedział cesarz sam, mając obok siebie Caulaincourta. (Z karety tej przesiadł się Napoleon do sań, kupionych po drodze już w granicach ks. Warszawskiego). Mameluk Rustan zajął miejsce obok stangreta. W drugiej karecie siedzieli marszałek Duroc i hrabia Lobau; w trzeciej generał Lefebvre, dowódca konnych strzelców gwardji, kamerdyner i dwaj lokaje. Nareszcie siadł rotmistrz Wąsowicz w sanie, na osobisty rozkaz cesarza, i berajter Amodru, który natychmiast oznajmił młodemu polskiemu oficerowi, że celem podróży nie było wcale Wilno, jeno — Paryż. Eskortę dzierżył szwadron z trzydziestu strzelców konnych, wybranych przez generała Lefebvre'a. Sanie szły przodem i mknąc szybciej znacznie niż karety, stanęły w Oszmianie na godzinę przed cesarzem.

Przybywszy tam o samej północy, zdumiał się niemało Wąsowicz, zastawszy cały garnizon oszmiański

pod bronią z komendantem na czele. Komendantem tym był jeden z würtemberskich generałów. Miał on pod sobą garnizon, złożony z Polaków, Francuzów i Niemców; stał również do boju gotowy oddział polskich ułanów, świeżo do Oszmiany przybyłych.

To niezwykle trzymanie garnizonu na stopie wojennej w małym miasteczku, położonem o mil niespełna ośm od forpoczt francuskiej armji, nakazywała najprostsza ostrożność. Ze wszech stron następowały na Oszmianę oddziały ruskich wojsk, prześladowujące odwrót wielkiej armji. Wspomniany oddział polskiej kawalerji (trzy szwadrony ułanów) cofnął się był gwałtownie do Oszmiany po ostrej utarczce, stoczzonej tuż pod samem miasteczkiem. Komendant oszmiański dziwił się niepomąłu odwadze cesarza, puszczającego się samopas w podróż poprzez mrowie nieprzyjaciół. Miano nadzieję, że w Oszmianie zatrzyma się cesarz na dzień cały i rozliczano, że Rosjanie, dowiedziawszy się o jego ze Smorgoń wyjeździe, pospieszą zabiec mu drogę; nie sposób było myśleć, aby sprawa tak doniosła, jak podróż cesarska, mogła utrzymać się przez czas dłuższy w tajemnicy.

W czasie tych rozpraw nad niebezpieczeństwami, grożącemi imperatorowi, nadszedł i on sam. Spał twardo w karecie swojej. Wąsowicz zbudził go i doniósł o wszystkim, o czem języka zachwycił. Nie wzruszyło to bynajmniej cesarza; przewidział był zgóry wszystko i na wszystko był przygotowany. Spytał nasamprzód, czy będzie miał nową kawaleryjską eskortę; odpowiedziano mu, że stoi w pogotowiu 266-ciu ułanów. — „Doskonale!“ — rzekł — wyszedł z karety i wszczął rozmowę z komendantem. Kazał sobie następnie podać kartę Litwy i pilnie rozglądał się po niej. Generałowie

zaklinali go, aby na jawną nie szedł zgubę i wstrzymał się z wyjazdem, chociażby do dnia następnego. Ale cesarz nie zwrócił nawet uwagi na te rady: wydawało mu się o wiele bezpieczniejszem puszczać się w drogę w biały dzień. Pomyślawszy chwilę, spytał adjutanta:

— Polscy ułani gotowi?

— Tak, Sire, byli oni już tu przed naszym przybyciem.

— Niech siadają na koń; eskortą otoczyć karete, jedziemy natychmiast, noc ciemna, Rosjanie nas nie dojrzą. Liczyć trzeba na szczęście, inaczej nic nie wskóramy!

Zmieniono konie u powozów. Cesarz, podawszy sam adjutantowi swemu parę pistoletów, kazał mu sięść na kozle, obok generała Lefebvre'a. Rustan poszedł do sań, mających iść ślad w ślad za cesarzem, a pułkownik Stojkowski, dowódca eskorty, otrzymał rozkaz jechania u drzwiczek karety.

— Liczę na was wszystkich — rzekł cesarz. — Mieście na oku obie strony drogi.

Potem zwracając się do tych oddanych mu duszą całą nieustraszonych ludzi:

— W razie nieuniknionego niebezpieczeństwa — dodał — zabijcie mnie, niedopuszczając by mię wzięto.

Wąsowicz, tknięty do żywego rozkazem, przywozującym na myśl czasy dzikiego barbarzyństwa, zawołał:

— Pozwól mi, W. C. Mość, przetłumaczyć te słowa ułanom.

— Tak, tak, powtórz pan im moje słowa.

Usłyszawszy rozkaz cesarza, w głos jeden huknęli ułani: „Siebie zarąbać pozwolim wpierw, nim damy

zbliżyć się komu!“ i powóz wśród gromkich okrzyków ruszył z miejsca.

Działo się to o godzinie drugiej po północy, dnia 24 listopada (6 grudnia) w porze roku, kiedy nocę mają godzin siedmnaście. Mgła, na którą liczone, nie okrywała całego widnokregu. Wyjechawszy z Oszmiany, ujrzano wzdłuż całej drogi, w mniejszej lub większej oddali, żarzące się ognie biwakowe; oczywiste było, że przyjdzie się pomykać mimo nieprzyjacielskich — rozrzuconych po całej przestrzeni — obozowisk. Wojska rosyjskie, nadciągawszy pod Oszmianę dla oswobodzenia miasta, rozłożyły się po całej okolicy, w szczególności po lewej stronie traktu, ześrodkowawszy przeważną siłę pod Nowosiadami. Okazało się teraz, jak roztropnie postąpił Napoleon, nie usłuchawszy rad swojej świty i puściwszy się w dalszą drogę tej jeszcze nocy. Ranek dnia następnego wykazał w całej pełni zasadność cesarskiego postanowienia. Sprawdziły się obawy oszmiańskiego komendanta; o brzasku dnia nieprzyjaciel zaatakował miasto.

Tymczasem po śnieżnej równinie posuwał się naprzód korowód cesarski niepewnym szlakiem traktu, rozjaśnionego bładem odbiciem śniegów. Wśród głębokiej ciszy słychać było dalekie głosy nieprzyjacielskich forpoczt i pikiet, błyskały tu i ówdzie rozsiane wzdłuż drogi ognie biwakowe. Niebo było bez gwiazd, i dzięki tej tylko okoliczności ciemna masa powozów, otoczonych 266-ma ułanami, przemykała się niepostrzeżona. Gdyby noc była jaśniejsza nieco, tak jasna, jak dwa, trzy dni temu, wątpliwości nie ulega, że zaatakowano by uchodzących; gdyby śnieg padał, również wątpliwości nie ulega, że cesarz zmyliłby drogę. Tak jednak zbiegły się wszystkie najprzyjaźniejsze okoliczności po

temu, aby wyszedł Napoleon cały z tej szalonej imprezy. Mróz ciął siarczysty; eskorta zaledwie utrzymać się mogła na siodłach; raz po raz zwał się z konia który jeździec i padał jak kłoda u drogi; marzły konie same. Ale i ów mróz sprzyjał tym razem cesarzowi; przykuwał on czaty nieprzyjacielskie do ognia, roznieconych w polu, obczwładniał strażę, kozacy, zawinąwszy się w kozuchy, spali na posterunkach, zmożeni chłodem i wybijającym z ostatnich sił czuwaniem. Dwaj energiczni ludzie na kozłach, z pistoletami w ręku, czuwali przytomnie, nie spuszczać z oka okolicy. W mgłę gęstej, tuż niemal u drogi, sterczały nieruchome trupy zmarzniętych kozaków.

Gdy o rozświcie dnia, przy 28 stopniach mrozu, dojechano szczęśliwie do Równego Pola, z całej eskorty cesarskiej pozostało już tylko 36 Polaków. Ci wytrzymali — reszta została na drodze.

Dwadzieścia kilka koni i ludzi byłoby w stanie może jeszcze czas jakiś dalej eskortować cesarza; reszta koni albo padła na miejscu, albo na nogach stać wcale nie mogła. Ludzie mieli podmrażane ręce, nogi, twarze albo uszy. Cesarz przeto na obronę żadną liczyć już nie mógł i pozostawała tylko jedna rada, rzucić się w bok gościńca głównego i manowcami uchodzić.

Miejscowy obywatel Falkowski, u którego cesarz odpoczywał, podjął się przeprowadzić go. Własne, doskonałe konie zaprzęgnięte do sani, w których cesarz z Caulaincourtem jechał, powoził sam, w prostym kozuchu, przebrawszy się za furmana; na kozle obok niego siadł Stanisław Wąsowicz, dzielny oficer z pułku Krasieńskiego; w drugich saniach z rzeczami jechał Duroc z Rustanem. Tak przez Miedniki, zatrzymawszy się krótko na przedmieściu w Wilnie, stąd na Kowno do-

jechali do Marjampola. Tu pocztmistrz Mikulicz, który nieźle mówił po francusku, zwrócił uwagę cesarza, że kierunek podróży przez Prusy, lubo drogę skraca, nie jest bezpieczny.

— Dlaczego? spytał Napoleon żywo.

— Najjaśniejszy Panie, — odrzekł Mikulicz — tam każdy czyhać teraz będzie na życie lub osobę W. C. Mości, tu, u nas w Polsce, każdy życie w jego obronie położy.

Napoleon uznał słuszność uwagi, zgodzono się na to, że lepiej drogę na Księstwo obrócić. Mikulicz przeto, wzięwszy naprędce starą karetę od p. Węgierskiego, w kilka godzin osadził ją na płozy i własnymi końmi, również jak Falkowski, powożąc sam z nieodstępnym obok Wąsowiczem, szczęśliwie i bez żadnego przypadku dowiózł cesarza aż do samej Warszawy.

Za tę przysługę dostał 300 napoleonów, które mu cesarz własnymi rękoma nasypał do czapki.

Pomimo klęski i porażki, Napoleon rad był widocznie, że się wyśliznął z tak ciasnej matni i miał nawet dobry humor...

MAŁY KAPRAL W ŁOMŻY.

Dziewiątego grudnia 1812 r. nad wieczorem, stanął Napoleon w Łomży i rozgościł się w budynku pocztowym. Prefektowi łomżyńskiemu, Janowi Lasockiemu, dano znać, że Caulaincourt, wielki koniuszy dworu francuskiego, zawadził o miasto i zażądał, aby natychmiast zjawił się przed nim i wystarał się o dwie butelki dobrego wina. Pan Jan uważał nowinę za żart, nie ruszył się z miejsca, wymawiając się nieobecnością w domu. Po ponownym jednakże rozkazie, wyprawił na zwiady niejakiego Wyszkwowskiego, który skrzyżował się na ulicy z zadyszanym Wąsowiczem, szukającym prefekta.

Obaj tedy wpadli do prefektury. Nie pomogły perswazje kapitana, odwoływanie się do dawnej zażyłości i znajomości. Lasocki zaciął się, zachnął i udowadniał z wielkim rankorem, że księżę Vicenzy nie może nim rozporządzać. Nareszcie, do ostateczności przywiedziony, oficer, wyjawiał pod pieczęcią tajemnicy, iż to sam cesarz, kryjąc się pod nazwiskiem swego koniuszego, polecił mu ukazać się przed sobą i wysłać do Warszawy kurjera, aby po stacjach, wiodących do stolicy, czekało w pogotowiu 38 rozstawnych koni. Dygnitarz departamentalny roztworzył szeroko oczy, zaciągnął czem prędzej frak i popędził na pocztę.

U cesarza bawili już komendant placu wraz z komisarzem wojennym, zaczem musiał czekać w izbie z generałem Lefebvre, z adjutantami i Rustanem. Wezwał go wreszcie przed oblicze „małego kaprała“, prawdziwy tym razem, księżę Caulaincourt.

Napoleon, przybrany w mundur szaserski z gwiazdką, bez krzyża na piersiach, był świeżo ogolony i od głów do stóp, świeżo przyodziały. Strój i bieliznę znoszoną darował mameluk żonie dyrektora poczty, według uświęconego obyczaju francuskiego. Pan prefekt zatrzymał się w odległości trzech kroków od majestatu. W krótkich urywanych zdaniach, zapytał go monarcha o nazwisko i pochodzenie, a przypominając sobie przydługą nieco gonitwę za Lasockim, pragnął dowiedzieć się, gdzie go odszukano.

— Zastano mię w biurze prefektury, — odrzekł — gdzie w ten moment urządziłem eskortę dla Waszej Cesarskiej Mości i wysłałem kurjera aby konie na pocztach były gotowe.

— Jakto, anonsowałeś mię — przerwał Napoleon — jako cesarza?

— Nie, jako wielkiego koniuszego, bom się w tej chwili dopiero dowiedział, że W. C. Mość pod tem jedziesz imieniem, i dlatego jestem zmieszany, że tak się prezentuję nieubrany.

— A któż ci o mnie powiedział? — dodał cesarz.

(Wyborna nadarzyła się sposobność, pochlebny uczynić komplement).

— Wszyscy, co się tu cisną zobaczyć W. C. Mość, poznali Go. Słyszałem głosy, cieszące się z widoku Napoleona. Ja sam, choć nie miałem szczęścia widzieć gdziekolwiek W. C. Mość, poznałbym Go

łatwo po opisie i portretach, których mamy pełno. Cesarz przerzucił rozmowę na sprawy wojskowe, badał, ile jest gwardji narodowej w Łomży, czy należycie zaopatrzona w broń, a przekonawszy się, że dwie trzecie załogi nie posiada uzbrojenia, wystawił bon do Grodna na ściągnięcie potrzebnego rynsztunku.

Napróżno rozbijano się przeszło pół godziny za chlebem i jajami dla cesarza, gdyż Łomża ucierpiała strasznie w ostatnich miesiącach od przechodzących wojsk. Z tem większą radością powitał cesarz Wąsowicza, niosącego dwie butelki madery z piwnicy Lasockiego. Napoleon wychylił szklanicę, napełnił drugą, maczał w niej obwarzanki i niecierpliwie dopytywał się o jadło. Wprawdzie prefekt kazał u siebie przygotować kolację, ale zimno dochodzące 30^o R. zamroziło i mięso w spiżarni. Zlitował się nad głodową dolą monarchy p. Wierzbicki i przysłał półmisek kotletów wołowych, wkrótce zaś i z kuchni Lasockiego dostarczono wazę zupy gorącej, befsztyka z kiełbasą i paru kapłonów. Cesarz przyzwał do stołu Caulaincourta i Lefebvre'a, poczem wszyscy trzej zabrali się do jedzenia z większym apcetytem. Troskliwy o swój żołądek Rustan, oddzielał z wszystkiego połowę, jowjalnie tłumacząc się: „*c'est pour le prince et c'est pour son favori!*“ Gdy biesiadnicy już nasycili się, wziął mameluk w areszt pieczonego kapłona, a bacznie zaś sprzątnął pozostałe w butelce wino.

Po trzechgodzinnym pobycie w Łomży, poleciał Napoleon gotować się do drogi i zostawił trzydzieści luidorów jako *frais de table*.

W HOTELU ANGIELSKIM.

Trzecim nawrotem zdążył mały kapral do Warszawy, *sed quantum mutatus ab illo...* Dotąd pisały o nim damy w memoire'ach i gazety prześcigały się w poddańczych artykułach, teraz nikt inny jeno skromny oberżysta opowie o przejeździe pobitego herosa. Jest to Tomasz Gąsiorowski, właściciel hotelu angielskiego, który jak umiał, tak spisał swe wrażenia w liście:

„Gdy w dniu 10-ym grudnia, między godziną 10 a 11, oficer ordynansowy Napoleona, Wąsowicz, wszedł do mego mieszkania, chcąc ode mnie dla gen. Caulaincourta mieszkanie wynająć. W tak krytycznych czasach każdy utrzymujący hotel, z powodu uciążliwego kwaterunku, wojskowego do hotelu przyjąć sobie nie zyczył, wymawiając się, iż cały dom jest zajęty; a gdy rzeczony oficer ordynansowy upornie nalegał lub rady zażądał, odsyłano go do innych hoteli i takim sposobem pozbyłem się pana oficera, który odchodząc, w te słowa odezwał się do mnie: „Pójdę do innego hotelu, lecz za pół godziny nazad tu powrócę, może pan tymczasem mieszkanie jakie dla gen. Caulaincourta wynajdziesz. Dowidzenia“. — i odszedł.

Nie upłynęło pół godziny, a wrócił, mówiąc do mnie: „Już jedzie!“ Odparłem, że stosownego miesz-

kania dla gen. Caulaincourta nie mam. „Jakikolwiek pan masz, to musisz mi dać.“

Widząc Wąsowicz tak uporczywie w swem zdaniu trwającego, powiedziałem mu, że wprawdzie mam trzy pokoje na dole, ale wcale nie ogrzane gdyż teraz z powodu wojny, mało kto do Warszawy przyjeżdża.

Mocno był uradowany z mego oświadczenia i kazał pokoje ogrzać, a ja, dawszy stosowne rozkazy ludziom moim, razem z oficerem wyszedłem. Skoro tylko próg przestąpiliśmy, już na dziedzińcu zastaliśmy gen. Caulaincourta, który powitawszy mnie bardzo grzecznie, kazał sobie mieszkanie pokazać.

Aczkolwiek i dla takiej osoby niestosowne było, zdawał się z niego zadowolony, dodając, aby tylko prędko je ogrzane. Wyszliśmy na dziedziniec. Chociaż 16 stopni ciągłego zimna dokuczało dosyć, wziąwszy mnie pod rękę i przechadzając się w te słowa odezwał się do mnie: „Widzę, żeś jest dobrym człowiekiem, uczyni mi jeszcze jedną przysługę.“ — „Chętnie, odpowiedziałem, jeśli tylko będę mógł“. — „To mieszkanie, które mi wskazałeś dla Caulaincourta, jest dostateczne, lecz teraz daj dla mnie jeszcze ze trzy pokoje, żebym się mógł ogrzać i przebrać. Gdy mu wskazałem podobne mieszkanie, uściskawszy mnie, zamówił obiad na kilka osób i powtórzył rozkaz o jak najrychlejsze ogrzanie mieszkania.

Następnie, chodząc ze mną po dziedzińcu, po niejakiem namyśle przemówił do mnie w ten sposób: „Teraz, gdy już mamy mieszkanie, zawołaj mi tu pana gubernatora Warszawy, Dutaillesa, aby zaraz tu przyszedł.“

Spojrzałem na nieznanomego z uśmiechem, mówiąc, iż podobne zlecenie trochę mi się niestosowne wydaje.

„Dlaczego?“ zapytał. — Ja z mej strony w te słowa odezwałem się do niego: „Gubernatorowi rozkazy... ja?“ — „Jakże zrobić? Ja go koniecznie mieć chcę.“ — „Daj mi generale kilka słów na piśmie.“ — „Ha, masz słuszość, prowadź mnie do mego mieszkania.“ — „Bardzo dobrze.“

Zaprowadziłem go, usiadł i poprosił o pióro i papier; dałem mu takowe. Napisał na ćwiartce papieru wezwanie do gubernatora, nie złożywszy wcale na list lub bilet. Niezapieczętowany, bez adresu, oddaje mi do ręki, mówiąc: „Oto jest.“ Zdziwiony tak zbytniem zaufaniem, mówię, iż takiego pisma do gubernatora zanieść nie mogę. — „A to dlaczego?“ — „Ponieważ ani zapieczętowane, ani adresowane.“ — „Więc zapieczętuj i zaadresuj.“

Dopełniłem tego i jednocześnie spostrzegłem, że synek mój, który się z adjutantem zabawiał, uchylił przypadkowo jego płaszcz. Spostrzegłem pod płaszczem mundur, złotem haftowany, jaki noszą wielcy dygnitarze. Domyśliłem się zaraz, iż jest to ktoś większy od Caulaincourta, nie wchodząc w dalsze rozpoznawanie osoby pana adjutanta, wzięwszy bilet, udałem się sankami prosto do gubernatora. Zameldowano mnie i natychmiast, uśmiechając się, jak gdyby więcej wiedział, wyszedł gubernator. Miałem polecenie osobiście list wręczyć i tego polecenia dopełniłem. Po otworzeniu listu odpowiedział mi: „*Tout de suite.*“

Ja, wyszedłszy, wsiadłem do sanek i wróciłem najkrótszą drogą. Nie wiem, jakim czarodziejskim sposobem inną, choć dłuższą drogą, wyprzedził mnie gubernator, gdyż zobaczyłem go w domu moim z tymże samym adjutantem, który mnie po niego wysłał, chodzącego i pod rękę po dziedzińcu się przechodzących.

Spojrzeni obadwaj na mnie; uśmiechając się, rzekł do mnie pierwszy adjutant: „Tylko co generała Caulaincourta nie widać.“

Poszedłem więc do mieszkania, zamówionego dla niego, i zobaczyć, czy wszystko jest w porządku, o ile się w tak krytycznym czasie zrobić dało.

Jeszcze się drzwi za mną nie zamknęły, gdy wpada oficer ordynansowy, Wł. Wąsowicz, i te słowa tylko mówi: „Caulaincourt przyjechał.“ Ja, chcąc wyjść naprzeciw niego, otworzyłem drzwi jak gdyby dla niego i zetknąłem się tak blisko z nim — gdyż to nie były podwoje, tylko drzwi pojedyncze — że prawie twarz o twarz się dotykała. On zwolna swoją odwrócił, ja, to spostrzegłszy, tem prędzej odwróciłem moją. Lecz o dziwy! Cóż spostrzegłem?.. Napoleon, w zielonej aksamitnej, sobolami podbitej kurtce, złotemi potrzebami suto ozdobionej! Poznałem cesarza odrazu, gdyż widziałem go naprzód we Włoszech, jako generała, komenderującego armją włoską, powtóre w r. 1806-ym, gdy przybył do Warszawy, mogłem mu się bardzo dobrze z następującego zdarzenia przypatrzeć.

Kiedy na drugi dzień po przybyciu, około 8-mej z rana. Napoleon manewrował w ogrodzie Saskim artylerję konną, po skończonych manewrach robił przegląd jednego pułku bojowego, nie pamiętam 13-go, czy 17-go; otoczyło go bardzo mało widzów, najwyżej 15 lub 16 osób, w liczbie których i ja także byłem. Przechodząc wzdłuż linję piechoty, zatrzymał się przed jednym żołnierzem i ozwał się do niego w te słowa! „*Comment te nommes-tu?*“ — zdaje mi się, iż żołnierz odpowiedział: *Colin*, lecz z pewnością przypomnieć sobie nie mogę. „*Je t'ai vu à Jena, tu es brave, je te nomme officier.*“ — „*Sire*, odparł żołnierz, *je ne*



NAPOLEON W WARSZAWIE

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

peux pas être officier.“ „*Pourquoi?*“ „*Car je ne sais ni lire, ni écrire.*“ — „*Et que sais-tu donc?*“ — „*Je sais se battre.*“ — „*Eh bien, tu te batteras, mais tu es officier* — i poszedł dalej.

Na trzeci dzień widziałem tego samego żołnierza w mundurze oficerskim.

Wracam teraz do mego dalszego opowiadania pobytu Napoleona w domu moim.

Wyszedszy z pokoju po spotkaniu się z Napoleonem tak zbliśnięty, w drzwiach, zobaczyłem nieco zdalaka, na dziedzińcu, już nie mniemanego adjutanta, jak dotąd sądziłem, lecz rzeczywistego Caulaincourta, którego już poznałem, z gubernatorem Dutailisem, idących i uśmiechających się do mnie. Zbliżając się do bramy, napotkałem p. Pradta, ambasadora Francji w trzewikach i pończochach na 16 stopni mrozu ubranego. Poznawszy mnie, w te słowa tylko do mnie przemówił: „*Où est il?* — a ja, ręką lewą wskazując, odpowiedziałem: *Là.*

Po półgodzinnej konferencji rozeszli się prawie wszyscy, wyjąwszy Rustana, i wtedy Napoleon zajął się swoją toaletą. Caulaincourt zaś przyszedł do mnie i oświadczył, iż skoro już i świta przyjechała, trzeba, aby i dla nich na kilkanaście osób był obiad sporządzony. Następnie zapytał mnie, jak prędko może być obiad dla Napoleona? Odrzekłem, że najdalej za godzinę. „*Nim więc obiad dla Napoleona dany będzie, przyjdiesz wpierw do mieszkania cesarza.*“

Tymczasem świta, rozgościwszy się, ile możliwości ogrzewała się i dostarczeniem najgwałtowniejszych potrzeb napawała.

Gdy obiad dla Napoleona już był gotów, przyszedłem do jego mieszkania; w przedpokoju zastałem

Rustana, ten mnie zameldował natychmiast. Caulaincourt wyszedł do drzwi i takie dał mi polecenie: „Teraz, gdy obiad jest gotów, niech ludzie od pana noszą, a Rustan potrawy dla nas donosić będzie i sami zaraz jeść będą. Wpan zaś stąd się nie ruszysz i nikogo a nikogo do nas nie wpuścisz, dopóki się obiad nie skończy i dopóki władze krajowe tu nie przybędą, gdyż za pół godziny gubernator tu przyjdzie.

Dodał jeszcze, iż chce, aby świta jak największe wygody miała. Odpowiedziałem, iż dałem już stosowne polecenie moim ludziom. Zaledwie się obiad skończył, wszedł p. gubernator Dutailis a Rustan zameldował go.

Po półgodzinnej konferencji wyszedł Caulaincourt i pyta mnie, czy poczta jeszcze nie przyszła? Wyszedłem zobaczyć; właśnie zakładano konie pocztowe do sanek, na które włożone było pudło zielone podwójnej karety. Oznajmiłem to Caulaincourtowi i ten Napoleonowi nawzajem oznajmił. W kilka minut zrobił się znaczny ruch w pokoju cesarza; drzwi się otwały, Napoleon wyszedł, za nim władze, ambasador, gubernator i inni. Było to już po godzinie 4-tej, światło już w pokojach jaśniało. Caulaincourt, przystąpiwszy do mnie nieznacznie, rzekł: „Podaj Wpan rachunek, a jeden ze świty go zapłaci.“ Wziąłem lichtarz z potrójnym światłem i prowadziłem wychodzącego Napoleona do sanek. Przed sankami stanąwszy, Caulaincourt ujął cesarza pod prawą rękę, a ja pod lewą, wsadziliśmy go do sanek, a Rustan tymczasem usadowił się na koźle.

Caulaincourt, podawszy Napoleonowi worek z wilków, w który on nogi wsadził, dobrze je dookoła otuliwszy; sam do Napoleona się przysiadł. Wtedy cesarz zapytał się go: „*Qui est cet homme?*“ Caulain-

court mu odpowiedział: „*C'est le maître de la maison.*“ — „*Qu'on lui donne 10 napoléon*“, odparł cesarz. Nie było to dla mnie tylko 10 napoleonów, ale więcej“.

W hotelu angielskim odbyła się scena, której nie mógł widzieć oberżysta, tak nieudolnie notujący swe wrażenia. Zapisuje ją inny, bezimienny pamiętnikarz.

„Dnia 10 grudnia 1812 roku, po dobrem śniadaniu, przed kominem, na którym tlił się ogień, arcybiskup mechliński, X. Pradt, w ciepłym szlafroku, w wygodnym krześle drzemał: śniło mu się może, że klęczy u nóg pięknej śpiewaczki, bo i on lubił podobno muzykę, albo że został papieżem, a przynajmniej kardynałem. Wtem drzwi się otworzyły i wysoki mężczyzna w ogromnym futrze, w futrzanych butach, w czarnej, jedwabnej szlafmicy na głowie: „obudź się mości ambasadorze!“ wchodząc, chrapliwym zawołał głosem. Ksiądz się przebudził, zerwał z miejsca, przetarł oczy i po chwili: „Ach, to ty, Caulaincourt!“ krzyknął. „A cesarz gdzie?“ „W hotelu angielskim, czeka na ciebie.“ „Dlaczego nie w zamku?“ „Nie chce, aby o jego przejeździe wiadano.“ „Czy nie braknie wam czego?“ „Daj nam wina burgundzkiego i malagi.“ Pradt wydał stosowne rozkazy i czem prędzej się ubierając, pyta: „gdzie jesteście?“ „Do Paryża“. „A armja?“ „Już jej niema!“ odpowiedział Caulaincourt, oczy podnosząc do nieba.

Wyszli obydwaj, i kiedy do hotelu angielskiego przybyli, mogła być godzina druga z południa. Żandarm polski stał przed bramą. Stare, małe pudło od karety, złożone na prostych płozach, i dwoje odkrytych sanek stanowiły ekwipaż cesarza Francuzów.

Rustan, mameluk, przez boczne drzwi wprowadził pana ambasadora. Właśnie czyniono przygotowania do obiadu. Caulaincourt wszedł pierwszy, oznajmił przybycie arcybiskupa, potem go do pokoju wpuścił i samego z cesarzem zostawił.

W małej, zimnej i prawie pustej izbie brudna miejscowa sługa roznieca z mokrego drzewa na kominię ogień: drzewo, sycząc, rozpalić się nie chciało. Koło ściany stała brudna kanapa, niby czemsiś ponso-wem przykryta, kilka obszarpanych stołków, stolik mahoniowy z brzegami poodbijanymi przed kanapą, komoda mahoniowa między oknami. Cesarz z założo-nemi wtył rękoma chodził po pokoju, czasami się zatrzymywał i wtedy w chwilowe zamyślenie wpadał. Miał na sobie jedwabną, zieloną szubę, podbitą sobo-lami, na głowie coś nakształt futrzanego kaptura, na nogach futrzane buty. „Panie ambasadorze“, zawołał, spostrzegłszy arcybiskupa, „jak się pan miewasz? Jakże ci się w tym kraju powodzi?“ Skoro mu arcybiskup przedstawił opłakany stan kraju, brak pieniędzy i zbo-ża, ruinę mieszkańców, bliskość nieprzyjacielskiego woj-ska, od strony Wołynia ciągnącego — Napoleon miał rzec: „Przez szkło powiększające wasza przewielebność patrzysz, wierzysz baśniom, rozsiewanym przez tchó-rzów, podobnych do ciebie. Rosjanie od Wołynia cią-gną? Gdzież oni są? A Austriacy? Trzeba dziesięć tysięcy polskich kozaków postawić na nogi; lanca i koń, a zatrzymamy Rosjan.“ Po niedługiej rozmowie, cesarz odprawił posła swojego i siadł do stołu.

Po obiedzie wrócił arcybiskup, a z nim, stosow-nie do danego sobie rozkazu, Stanisław Potocki, prezes ministrów, i Matuszewicz, minister skarbu. Gdy ci, wzruszeni widokiem cesarza, powtarzali, ile są szczęśli-

wi z oglądania go w dobrem zdrowiu po tylu niebezpieczeństwach, „niebezpieczeństw nie było“ — odezwał się monarcha. „Ja potrzebuję ruchu i zajęcia, niedołączni tylko królowie rozpasają się w swoich pałacach, ja potrzebuję życia na koniu i w obozach. *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*. Czegóż się tu trwożycie? To ten ksiądz tego narobił — dodał — wskazując na Pradta. Nie lękajcie się niczego. Jeszcze mi pozostaje 120.000 wojska, to zimować będzie w Wilnie. Spieszę do Francji, trzykroć sto tysięcy żołnierza przyprowadzę wam na wiosnę. Dwie lub trzy wygrane bitwy, a wszystkie straty powetowane zostaną. Chcieli mnie odciąć pod Berezyną, alem zadrwił z ich głupiego admirała. Miałem sam wybór wojska przy sobie, armaty, położenie doskonałe: ogromne błota, błotnistą rzekę. Pod Marengo do godziny 6-tej byłem pobity, a nazajutrz całych Włoch zostałem panem. W austriackiej kampanji, żeby Dunaj jednej nocy nie był wezbrał o stóp szesnaście, byłoby po Austrii; ale musiało być napisane w niebie, że się ożenię z arcyksiężniczką austriacką. Toż samo i w Rosji, czyż mogłem przeszkodzić mrozom? Po kilka tysięcy koni traciliśmy codziennie. Rasa normandzka mniej wytrzymała od waszej. Zarzucają mi, że za długo siedział w Moskwie, może mają słusność, ale czas był tak piękny, a zima tak nagle nastąpiła! W Moskwie chciałem zawrzeć pokój, w tym nawet celu 5 października wysłałem Lauristona. Była chwila, kiedy zamyślałem iść na Petersburg, miałem czas po temu. Mogłem zimować w południowych częściach Rosji albo w Smoleńsku. Nie lękajcie się, Wilno trzymać się będzie. Zostawiłem na mojem miejscu króla neapolitańskiego. Moskale się dobrze odznaczyli. Cesarz Aleksander jest lubiany. Mają chmury kozaków, to

wielka pomoc. Chłop skarbowy przywiązany do rządu. Cała szlachta siadła na koń. Radzono mi, abym w Rosji ogłosił zniesienie poddaństwa, nie chciałem tego uczynić, byliby wszystkich panów wymordowali, to byłoby okropne! Spalili Moskwę, któżby się był tego spodziewał!?”

Długo jeszcze cesarz rozprawiał, rozmaite czynił plany; Księstwu Warszawskiemu sześć milionów franków udzielił pożyczki; potem pożegnał się z wszystkimi; a kiedy go obecni upraszali, aby zdrowie swoje oszczędzał: „nie lękajcie się o mnie, — zawołał — na złość moim nieprzyjaciołom nigdy tak zdrow nie byłem!” Te były ostatnie jego słowa, siadł na sanie, ruszył z miejsca, a kiedy z bramy wyjeżdżał, co tylko go woźnica nie wywrócił“.

NA PAGÓRKU POD FULDĄ.

Okolo miasteczka Fulda Napoleon jechał 28 października 1813 r. konno, -- słowo gen. Dębinińskiego -- rozmawiając z jednym z generałów; za nim jechała liczna świta, a za tą następowały grenadjery konne. Że nam dniem pierwej były krzyże za bitwę pod Lipskiem rozdane, a pomiędzy ozdobionymi nie było brata mego, Wacława, który w każdej bitwie równie mężnie ciągle się znajdował, chciałem korzystać z tego, że cesarz wzdłuż jazdy naszej, obok traktu o kilkadziesiąt kroków maszerującej, przejeżdżał, aby mu przedstawić mój żal: że ja dostałem krzyż, a brat mój, tyle zasłużony, go nie ma. Dojechałem do traktu, lecz od cesarza przedzielał mnie rów, jadę więc małym kłusem ciągle na wysokości cesarza, czekając, aby gdy dojedzie do wierzchołka góry, gdzie rów zniknął, zbliżyć się do niego. Żem był płaszczem kolistym okryty (bośmy ich prawie nigdy nie zdejmowali dla ciągłej mgły i częstych deszczów), wzbudziłem może podejrzenie w orszaku cesarza, i skoro się już koniec rowu zbliżać począł, gdym już konia skręcił ku cesarzowi, zjechał z traktu jakiś generał, jego adjutant, wsunawszy się swym koniem między mnie a cesarza pyta mnie bardzo grzecznie: *que voulez vous monsieur?* Gdy mu opowiedziałem zapomnianą obietnicę, uczynioną memu bratu przez króla neapolitańskiego,

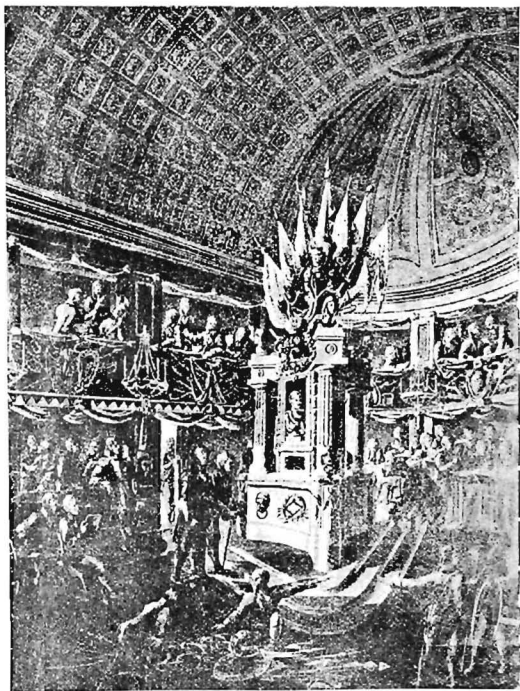
cofnął konia i wskazując ręką na cesarza, rzekł: *parlez, monsieur!*

Lecz wtém cesarz, obracając się na koniu, do mnie mówi: — „Panie oficerze polski, jedź i powiedz oficerom starszym wojska polskiego, niech przyjadą do mnie na ten pagórek“ — wskazując ręką na wzgórze obok traktu w prawo — i sam krótkim galopem ruszył ku wskazanemu pagórkowi. Już wtedy o bracie i o wszystkim zapomniałem i lecąc całym pędem, uwiadomiłem Kurnatowskiego o rozkazie cesarza. Ten go przesłał dalej, a sam i ja ruszyliśmy galopem do cesarza. Niezwłocznie zebrało się nas stu, a może więcej około niego. Zdaje się, że cesarz już pierwej przez kogo innego ten rozkaz przesłać musiał, bo niepodobna, aby jedynie na moje zawołanie tyle starszozny tak szybko, bo w jednej prawie minucie, mogło się być zebrać.

Długą, bo przeszło godziną miał cesarz do nas mowę. (Tekst wedle Skałkowskiego: *En marge de la correspondance de Napoléon I.*)

„*Messieurs Polonais!*“

...Jestem zmuszony opuścić Księstwo, wszelako w warunkach traktatu pokojowego będą zastrzeżone prawa co do przyznanych wam stopni, wasze majątki nie ulegną konfiskacie, a wreszcie wrócicie do waszej ojczyzny i rodzin jak ludzie honoru. Jeśli zaś chcecie już teraz odejść, będziecie traktowani jak jeńcy wojenni i nie może być inaczej. Jeśli się Księstwo utrzyma, w co wierzę, wrócicie „*en tambour battant*“. Nic innego tylko lekkomyślność sprowadziła was na tę drogę, lekkomyślność polska. Wracając obecnie do kraju, narażacie się na to, że będziecie uważani za jeńców wojennych. Nic innego, tylko lekkomyślność pol-



WOLNOMULARZE KU CZCI KS. JÓZEFA

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

ska sprawiła tę zmianę w waszych umysłach albo przegrana walka, albo strata ks. Poniatowskiego, chociaż nie ma się nic pewnego o księciu. Mam wiadomości, że przebył rzekę wpław i skrył się w lasach. Może czujecie się w obowiązku wrócić, bo król saski został. Ale wreszcie kto jest król saski? Nie był nigdy waszym królem, był to król prowizoryczny. Po pokoju, zawartym w Tylży, nie mogłem z powodu zazdrości innych mocarstw oddać Księstwa Francuzowi lub Polakowi, trzeba je było oddać królowi saskiemu, ale on był tylko królem prowizorycznym. Przyznacie, że to ja byłem waszym księciem, a król saski dał mi słowo honoru, że nie odda nigdy Księstwa. Obiecał mi to w dniu, gdym się z nim rozstawał, a gdyby nawet oddał Księstwo, musiałby czekać pokoju razem ze mną. Może być zmuszony okolicznościami, „*c'est un pauvre diable*“ ten król saski, uczciwy człowiek, dobry mój przyjaciel, ale słabe ma środki i władzę. Co kto może zdziałać wbrew swemu narodowi? Wojska jego zbuntowane, jenerałowie go zdradzili. Nadomiar Niemcy są nieprzyjaciółmi Francuzów i Polaków. Król saski nie mógł postąpić inaczej. Zostawiłem mu wolność postępowania. Gdybym go był wziął ze sobą, osadzonoby księcia Weimara na tronie saskim. Wkońcu powtarzam, że król dał mi słowo honoru, iż nie odda Księstwa. Nie, chyba tylko niestałość i lekkomyślność polska wpłynęły na zmianę waszych przekonań“...

W tem miejscu generał Krakowiecki wtrącił: „zaprawdę, Sire, dosyć daliśmy dowodów, że jesteśmy wierni sprawie, której bronimy“.

Cesarz mówił dalej:

„Nie mam wam nic do zarzucenia, jesteście ludźmi szlachetnymi, ludźmi honoru, którym nic nie można za-

rzucić, tylko ta narodowa niestałość i lekkomyślność polska“.

Tu wtrącił Artur Potocki: „Gdybyś nam to, Najj. Panie, powiedział 8 dni temu...“

Cesarz mu przerwał:

„Nie myślałem, że będzie potrzeba. A potem czy myślicie, że 2 lub 3 tysiące Polaków robi tak wielką różnicę w moich zamiarach? Nie wierzcie temu. Musiałem myśleć o innych rzeczach. Rozumiecie mnie panowie?“

Dały się słyszeć głosy: Tak, Sire.

„A pan?“ (zwracając się do Dwernickiego).

Dwernicki odrzekł: „tak, Sire“.

Cesarz mówił dalej:

„Ostatecznie, panowie Polacy, trzeba zostać. (*il faut rester*). Nie mówię wam tego jako cesarz Francuzów, ale jak człowiek Europy. Gdybyście teraz wrócili do ojczyzny — wasi rodacy wyrzucaliby wam, żeście opuścili sprawę, której trzeba było bronić. Nie myślcie, że wszystko jest stracone. Sprawa odbudowy waszej ojczyzny pewniejsza jest teraz, gdy stoję na czele 60-ciu milionów ludzi, niż w 1809, gdy stałem na czele stu tysięcy. Wkońcu zapomnijmy o wszystkim, nie mówmy o przeszłości. Dam wam miasto we Francji, gdzie się zorganizujecie, będziecie dobrze płaceni i wykwapowani. Czy to nieszczęście przebyć zimę we Francji? Wasze pułki będą skompletowane przez jeńców, w szpitalach i zakładach jest nas dosyć jeszcze. a na wiosnę zaczniemy na nowo. Jest możliwe, że opuszczę Księstwo, nie mówię, że nie. Jestem cesarzem Francuzów i pierwszy mój obowiązek Francji dotyczy. Ale jeśli opuszczę, to w traktacie zastrzeżone będą wasze osoby i majątki. Wróćcie jak ludzie honoru, nie jako jeńcy. Któżby chciał tracić wolność?“

Nie tracić nadziei, *messieurs Polonais!* Jedna bitwa wygrana zaprowadzi mnie nad Elbę, druga nad Odrę. Wiecie, jak niewiele mi trzeba, by wygrać bitwę. A bitwa pod Lipskiem? Przecież ją wygrałem. Czyście byli pobici? Czyście ustąpili z pola wrogowi? Szesnastego dano 80.000 strzałów, 18-tego 90.000, a potem nie miałem amunicji i ten Bawarczyk wypowiedział mi wojnę. Musiałem się cofnąć. Król Wirtemberski działał lojalnie, uprzedził, że w tych warunkach musi mi wypowiedzieć wojnę. Ale cóż mi znaczy ten „gałgan“ Wrede i ci wszyscy książęta niemieccy? To tak jak w bajce o osle i lwie. 19-tego rozkazałem pułkownikowi wysadzić most, jak armja się wycofa, on go wysadza w chwili, gdy połowa wojska zostaje po przeciwnej stronie. To są sprawy, którym zaradzić nie mogę. I znowu się cofam. A potem trzeba spocząć, bo Francuzi są zbyt zmęczeni wojną.

Widzicie jacy są? (pokazuje maruderów).

Ale jeśli nieprzyjaciel przędzie Ren, wierzę, że Francja wstanie jak jeden mąż, dwa, trzy zwycięstwa i wszystko się odrobi. Nie myślę, że się boję przejścia wroga przez Ren, przeciwnie, niech przejdą, niech próbują wejść do Francji. Chcę nawet — niech spalą 2 miasta, będę miał 500.000 ludzi więcej. Nie będę im przeszkadzał w chodzie.

Nie myślcie, panowie Polacy, że was opuszczam. Gdybym was opuścił, mielibyście straszny powód do odejścia do domu. Czemu nie zawarłem pokoju w Dreźnie? Bom nie chciałem opuścić Księstwa. Jeśli ks. Warszawskie powstało, to tylko dzięki pokojowi w Tylży. Nie oddałem nic. Możecie liczyć na to, że was nie opuszczę, chyba w wyjątkowym razie, ale jak powiedziałem, jestem cesarzem Francuzów i pierwszy mój

obowiązek jest wobec Francji. A wasz odwrót przez Austrię? Chcieli was zatrzymać jako jeńców, ale bitwa pod Lipskiem zaimponowała im i dali wam przejść wolno.

Pragnę wam jeszcze powiedzieć, panowie Polacy, że wasi wielcy ludzie nie są wcale dobrymi patriotami. Minister spraw wewnętrznych miał stosunki z Rosjanami. A wasz minister finansów? Jest jeszcze kilku. A p. Stanisław gdzie jest?

(Artur Potocki odpowiada, że chciał zostać przy księciu Józefie).

A więc się znajdzie. Ostatnia wojna z Rosjanami była tylko wojną o Polskę, byłem pewny, że odbuduję wasze królestwo. Austria zgodziła się nawet odstąpić Galicję. Czytajcie „Monitora“, znajdziecie tam traktat, w którym obiecuję odstąpić Galicję. Gdyby nie ta nieszczęsna kampanja. Zrobiłem w niej parę błędów. Któż ich nie zrobił... Zdrada ks. Schwarzenberga. Może także fortuna zawiodła. Zmieniła się. Wiecie, że to kobieta. Być także może, panowie, że wasza nieszczęśliwa gwiazda pociągnęła za sobą moją. A wasza konfederacja co zrobiła? Nic nie zrobiła. Pod słowem „konfederacja“ rozumiałem powstanie ogólne. Miałem głupiego ambasadora, który nic nie robił. To niepoń. Ale wasza konfederacja nic nie zrobiła“.

Tu Skrzynecki wtrącił: „Sire! Nie pozwolono nam nigdy rozwinąć energii narodowej“.

— *Comment?*

Skrzynecki powtórzył.

Cesarz mówił dalej:

„Szedłem dniem i nocą na Moskwę, nie mogłem być w Warszawie, a ten dureń ambasador nic nie robił. Ale trzeba było wywołać ogólne powstanie. A ko-

zacy, których pociągnęliście przy końcu, to przecież bardzo dobre wojsko! Potrzebowałem lekkiej jazdy. Jakkolwiek wasz król, panowie Polacy, został, nie powinniście się smucić, nie mógł zrobić inaczej. Był tylko królem prowizorycznym. To ja byłem waszym księciem. A nawet gdyby królestwo Polski było wskrzeszone, król saski nigdyby nie był waszym królem. Byłby nim inny. Zresztą byłoby się rzecz urządziło wedle okoliczności.

Ostatecznie, *messieurs Polonais*, trzeba iść ze mną, iść do Francji! Nie wierzcie temu, że wszystko stracone. Czy myślicie, że tak źle sprawa moja stoi? Czyż nie wierzycie, że i dziś jeszcze jestem najpotężniejszy! Możliwe, że pokój stanie tej zimy. To bardzo możliwe. Nie wierzę, żebym był zmuszony opuścić królestwo. A nawet jeśli je opuszczę, to wasze osoby i majątki będą stosownie zabezpieczone, a stopnie zachowane. Wróćcie do ojczyzny jak ludzie honoru. Trzeba iść do Francji, panowie Polacy. Jestem jedynym człowiekiem, na którego liczyć możecie“.

(Tu zawołano: *Vive l'Empereur!* Cesarz kłaniał się, zdjawszy kapelusz).

I znowu rozległy się głosy: „Niech żyje cesarz, nasza jedyna nadzieja, nasza jedyna opatrzność“.

Gen. Dembiński tak kończy opowiadanie:

„Gdy cesarz mówił, wtem opodał nas kozacy zrobili napad, podług swego zwyczaju, z wielkimi okrzykami: Hura! Napoleon, wskazując ręką w stronę tych krzyków i pokazując nacierającą chmarę, rzekł: „Naigravaju się ze mnie, ale jest to zamach obelżywy osła na łwa“.

Od czasu tej mowy książę Sułkowski, który ust nie otworzył podczas całej tej sceny opuścił nas i po-

dobno zaraz nazajutrz posłał do cesarza prosić o uwolnienie siebie od służby czyli o dymisję. Czyto wskutek tego żądania, czy z powodu tak niedbałego prowadzenia wojska, cesarz dał polecenie Dąbrowskiemu do objęcia dowództwa nad nami w słowach, jak nam je opowiadano, następujących: „*Allez prendre le commandement des Polonais, car je l'ai donné à un p...*“

ANEGDOTY I HISTORYJKI.

Przebogata i barwna epopeja napoleońska obfitowała w niezliczone mnóstwo anegdot, historyjek i dziwnych wydarzeń, dotyczących zarówno osoby Napoleona jak i jego wiarusów. Niestety, tylko bardzo drobną ich część przekazali nam pamiętnikarze oraz skąpa tradycja epoki. W wiązance niniejszej zebrano kilkanaście bardziej charakterystycznych.

BRAWURA FRĄCZEWSKIEGO. W czasie jednej z wojen włoskich, w których gen. Massena oddał tak wielkie usługi pierwszemu konsulowi. Los Genui i armji francuskiej zawisł od raportu, który Massena musiał przesłać Napoleonowi. Blokada od strony lądu i morza sprawiała, że misja podobna była bardzo niebezpieczna. Wówczas Frączewski, młody oficer polski, zgłasza się jako ochotnik. Generał wręcza mu deszcze, a łódź rybacka z trzema nieustraszonymi wiosłarzami uwozi ich od brzegu. W cieniach nocy przekradli się przez potrójne linje angielskiej floty; z braskiem dnia wysłali Anglicy w ślad za nimi pogoń.

Frączewski jednak zdołał umknąć szczęśliwie pogni. Już zaledwie mil kilka dzieli go od Antibes, ale nieprzyjaciel wciąż pospieszał i obawa dostania się do niewoli zwiększała się z każdą chwilą. Wtedy ów Frą-

czewski robi ostatni wysiłek: rozbiera się, przywiązuje sobie depesze do szyi, każe wiosłarzom przez czas jakiś zająć uwagę ścigających i rzuca się w morze.

W kwadrans potem przypomina sobie jednak, że zapomniał w łodzi szablę swą. Nie chce wpaść bezbronny w ręce Anglików, więc wraca do łodzi, zabiera szablę, zawiesza u szyi i po paru godzinach przybija do brzegu. Uratowane depesze wręcza konsulowi, który podziwia i wynagradza poświęcenie. (Wedle książki „Les armées françaises“, Paris 1815, str. 100).

FIGIEL ŻYDKÓW W SWARZĘDZIU. Jesienią r. 1806-go zapowiedziano przyjazd Napoleona do Poznania; wszyscy oczekiwali z niecierpliwością chwili, w której ukazać się miał ów mąż nadzwyczajny, zdumiewający świat swojemi czynami. Otóż w Swarzędziu, miasteczku, o milę od Poznania położonem, zamieszkałem po największej części przez ludność żydowską, okazał się pomiędzy nią pewien ruch nadzwyczajny, co dało powód burmistrzowi przyzwania starszyny żydowskiej do siebie z żądaniem, aby mu wyjawiała powód tego. Jaką otrzymał odpowiedź, nie wiadomo, dosyć, że odtąd był spokojny. Wkrótce rozeszła się pogłoska, że żydzi w pobliskich wioskach powynajinywali wiele koni, które żwawo ujeżdżają, ćwicząc się pojedynczo lub gromadnie jakby na jaką paradę. W głowę zachodzili ciekawsi, coby to miało znaczyć, gdyż były poszlaki, że żydzi sprawiali różne przybory na konie i częściej się zgromadzali za okopiskiem, gdzie najdziwniejsze wyprawiali harce.

Wiadomość, że Napoleon przegląd wojsk francuskich w Swarzędziu i okolicy dnia 10 października odbędzie, poruszyła wszystkie warstwy ludności; kto tyl-



TRUBADUR FRANCUSKI NAD GROBEM
PONIATOWSKIEGO

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

ko do użytku miał przydatnych nóg parę, już o świcie wybiegł na Zieleniec, miejsce nader zajmujące nad brzegiem jeziora, ku Poznaniowi. Poza stajniami karczmy, tam położonej, gromadził się także niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie i hałas byłby może zdołał artylerję przygłuszyć. O pierwszej z południa nadjechał wreszcie Napoleon. Siedzący na dachu żydek krzyknął: *Er kimt! Er kimt!* (jedzie, jedzie). Na czele świetnego sztabu zbliżył się Napoleon ku karczmie i właśnie wypytywał się jednego z przybocznych generałów o strategiczne położenie miasteczka Swarzędzia, gdy nagle z poza stajen wyskoczył konno znaczny poczet Turków, zastępując drogę cesarzowi. Zawoje na głowach, kurtki różnobarwne, brody pojeżone, konie, strojne w różne naczółki, deki i czuby przy uszach, naostatek pałasze, piki, nawet rusznice nadawały tej szczególnej jeździe jakoby wojenny charakter; Napoleon wstrzymał konia i spojrzał na swoich — nikt mu tego wypadku wyjaśnić nie umiał. Wtem wysuwa się naprzd dowódca jazdy, a podjechawszy tuż przed samego cesarza, zdćmując z głowy turban, mówiąc: *Fürchten Sie nicht, Kaiserliche Majestät, wir sind keine Türken, wir sind Swendzener Juden* (Nie lękaj się, Wasza Cesarzka Mość, my nie Turcy, myśmy żydki swarzędzkie). Napoleon zaczął się śmiać — co widząc, odważne Turki krzyknęli: „Wiwajt! Wielki cesarz Napoleon niech żyje! Jeszcze raz niech żyje!“ I powtórzywszy trzykrotnie: wiwat! pógalopowali znowu za stajnie. Marszałkowie francuscy zapewniali, iż Napoleon nigdy się tak serdecznie nie uśmieł jak wtenczas. (Wedle A. Wilkońskiego).

PORCELANA HR. SZOŁDRSKIEGO. W czasie pobytu Napoleona w Poznaniu przedstawiono mu mię-

dzy innymi hr. Szołdrskiego, jednego z najbogatszych w owym czasie ziemian w Wielkopolsce. Hrabia dzierżył urząd sędziego pokoju, miał tytuł ekscelencji i nosił za jakieś zasługi wielki, rzucający się w oczy order, na który nie żałowano emalii.

— Ilu ludzi zajmujesz pan w swych fabrykach? — pyta go cesarz.

Hrabia, który jako żywo żadnej fabryki nie posiadał, zmieszał się i nie odpowiada. Cesarz pyta dalej:

— Wszakże pan masz fabrykę porcelany?

Wtedy za hrabiego odpowiedział prefekt:

— Najj. panie! To jest hr. Szołdrski, jeden z najbogatszych ziemian w tym kraju!

— A, to bardzo dobrze! — hęknął Napoleon i poszedł dalej. (Wedle H. Brandta).

ROZMOWA Z PANNA KWIŁECKĄ. Żarty, strojone z pań, prezentowanych Napoleonowi, powtarzają się stale te same. Nie wiadomo tylko, czy tak samo powtarzał je cesarz. Opowiada por. Szmidt, że w Poznaniu miała paść ich ofiarą 18-letnia panna Kwilecka. Zapytał ją jak i inne:

— Ile pani ma dzieci?

— *Sire*, nie mam ich wcale.

— Więc pani już wzięła rozwód?

— *Sire*, nie miałam wogóle męża, jestem panną...

— To źle! Nie trzeba tak długo przebierać, bo szkoda czasu!

NIEMA CHŁĘBA. Po bitwie pod Iławą (1807 r.) żołnierze, głodni, zmrożeni, złorzeczyć poczęli cesarzowi, a stara gwardja bez rozkazu stanęła pod bronią, wołając: żywności albo sami pójdziemy naprzód! Do-

niesiono o tem Napoleonowi, nadmieniając, iż przedstawienia oficerów do niczego nie doprowadziły.

— Ależ jesteście dziećmi, — rzekł cesarz — nie umiecie się wziąć do rzeczy. Niech mi podadzą konia!

Otoczony sztabem, pojechał na plac zboru, gdzie kazał gwardji sformować kolumny i zbliżyć się do siebie, poczem zapytał donośnym głosem:

— No, i cóż to wszystko ma znaczyć? Dlaczego stanęliście pod bronią bez mego rozkazu?

— Papa, chleba! — jednym głosem wrzasnęli gwardjacy.

Cesarz, rozumiejąc znaczenie tego wyrazu, odpowiedział tak, że wszyscy mogli dobrze słyszeć.

— *Eh bien*. Niema!

— *Vive l'empereur!* — odkrzyknęła gwardja z takim zadowoleniem, jak gdyby już ją nakarmiono dosyta.

Wogóle lubiał Napoleon figłować z wiarusami.

Cesarz w przejeździe — opowiada jeden z nich — robił sobie czasem igraszki z nami. Jadąc za nim, przyskaliśmy go błotem mimowolnie. Nikt nie chciał zostać wtyle, bo wszyscy chcieli być przy nim. Kazał nam tedy jechać przed sobą, mówiąc: „Wyście mnie przedtem przyskali błotem, teraz ja was będę“; i jak tylko który zostawał wtyle, Napoleon bił konia szpicrutą i poganiał i śmiał się dorozpuku. (Szymanowski).

DOBRY CHRZEŚCIJANIE. Wkrótce po przejeździe do Warszawy Napoleon, dawszy marszałkowi Davoustowi rozkaz posunięcia się ku Pułtuskowi, podążył za nim osobiście pod Pomiechów nad Wkrą. Stając na miejscu późnym wieczorem, zastał cesarz marszałka, zajętego odbudową świeżo spalonego przez

Rosjan mostu, którego część jeszcze trzymała się na palach. Po drugiej stronie rzeki obozował nieprzyjaciel. Napoleon naglił, by jak najrychlej przywrócono komunikację z przeciwnym brzegiem, a usłyszawszy raport komendanta inżynierów, iż dopiero po upływie kilkudziesięciu godzin może most zrestaurować, zawołał zniecierpliwiony :

— Podajcież co prędzej łódkę. Niech w nią siada tylu ochotników, ilu się zmieści, i niech się przeprawią na drugą stronę!

Usłyszawszy to, mój kolega Zieniecki i ja, gdy czółno stanęło już u brzegu, wskoczyliśmy w nie wraz z pięcioma Francuzami i przeżegnawszy się wpierw, już w nocy przedostaliśmy się na drugi brzeg Wkry, obsadzony przez Rosjan. Owe przeżegnanie się nasze nie uszło baczności Napoleona, stojącego tuż przy odpływającym czółniku, więc zapytał marszałka :

— Kto są ci dwaj młodzi ludzie?

— Są to oficerowie polscy z mojego sztabu — odpowiedział Davoust.

— To dobrze, — rzekł cesarz — dobrzy chrześcijanie są dobrymi żołnierzami. (Szymanowski).

UBÓSTWO JĘZYKA POLSKIEGO. Słynny Constant wspomina w swych pamiętnikach, że w czasie wojny polskiej rozpowszechniło się wśród francuzów przekonanie, że język polski jest bardzo ubogi. Twierdzili mianowicie, że składa on się z czterech tylko wyrazów, a to: *chleba*, *niema*, *wodia*, *sara*. Wszędzie bowiem na pytanie o chleb odpowiadano, że go niema, *woda* natomiast znajdowała się *zaraz*. (Constant, Mémoires. III. 220).

ZA ZDROWIE CESARZA FRANCUZÓW. Ten sam pisarz opowiada: „Podczas rewji w Warszawie, gdy mieszkańcy cisnęli się tłumnie wokół naszych wojsk, żołnierz jeden zaczął kląć na śnieg i błoto, a później na Polskę i Polaków. „Szkoda, panie żołnierzu“, rzekła mu na to dziewczyna z mieszczańskiej rodziny, „że nie lubisz naszego kraju, bo my bardzo kochamy Francuzów“. — „Bardzo pięknie, panienko, odrzekł żołnierz, ale jeśli mnie chcesz przekonać o prawdzie twych słów, to nas zaprosz na dobry obiad, mnie i mego przyjaciela. „I owszem!“ rzekli, podchodząc, rodzice dziewczęcia, „wypijemy razem za zdrowie cesarza“. I zaprowadzili do siebie obu żołnierzy, którym w ten sposób trafiła się najlepsza chyba uczta w całej kampanji“.

KOŃ W DYMNIKU. W czasie pobytu wojsk francuskich w Warszawie ogłoszono rekwizycję koni. Mieszkał wówczas w stolicy pan Husarzewski, staruszek zamożny i oryginał. Lubił grywać na skrzypcach tak dalece, że w karecie jego znajdował się zawsze instrument i pulpit z nutami. Skoro mu więc ochota przyszła, otwierano na wszystkie strony karete i Husarzewski dawał koncert bezpłatny. Posiadał on także konia, niekształtnego wprawdzie, ale maści oryginalnej, bo na białem tle pocentkowany był łatami gliniasto-czerwonymi. Na tym koniu codziennie o tej samej godzinie wyjeżdżał w Ujazdowskie aleje.

Owóz w nieszczęsnej chwili rekwizycji zawiadomiono staruszką, że jego wierzchowiec ma być zabrany. Dla ocalenia ulubionej szkapy, wprowadził ją Husarzewski w nocy po schodach na strych, tam ją uwiązał i sam nosił jej wodę, owies i siano, bojąc się, by go kto ze służby nie wydał. W kilka jednak dni koń urwał

się z uwięzi, przyszedł do dymnika, szturchnął głową w okienko i wybiwszy je, począł na ulicę wyglądać. Naturalnie spostrzegli go przechodzący żołnierze francuscy. *Voilà camarade!* rzekł jeden do drugiego, *voyez donc le coucou?* Konia natychmiast zabrano. P. Husarzewski ze zmartwienia ciężko się rozchorował, a żona z płaczem udała się do pani Vauban, kochanki ks. Józefa Poniatowskiego. Dopiero ks. Józef, kazał oddać go p. Husarzewskiemu, który odrazu uzdrowiony, zwykłe swoje przejażdżki na nowo rozpoczął (K. Wójcicki).

BUTY I KAJDANY. Za księstwa warszawskiego, w czasie rozmowy z dygnitarzem francuskim w Warszawie, gdy mu się żalił Marcin Badeni na wygórowane wymagania francuskie, dumny Francuz rzekł do niego: „Jesteście nam niewdzięczni, a przecież zdjęliśmy z was kajdany pruskie...” Badeni, dotknięty wymówką, odpowiedział mu: „Tego nie przeczę, ale na nieszczęście stało się to wraz z naszymi butami”.

NIEGOLEWSKI POD SOMO-SIERRĄ. Między rannymi w wiekopomnej szarzy leżał pod zabitym koniem Andrzej Niegolewski, znakomity później poseł z Poznańskiego na sejm berliński. W okropnych bólach wołał: „Czyż się nikt nade mną nie zlituje i nie dobije mnie? Bo tych boleści już wytrzymać nie mogę”. Wtedy poczciwy wiarus zbliża się do niego z karabinkiem, odwodzi kurek i przykłada lufę do głowy. Wtenczas on krzyknął: „A cóżem ci szelmo zawinił, że chcesz mnie zabić!” Nieraz to koledzy Niegolewskiemu przypominali. Był to przedmiot do częstych z nim żartów. (Wedle L. Sapiehy).

KURA CZY PROBOSZCZ? Razu pewnego — opowiada Józef Rudnicki, por. 4 pp. — bataljon stanął w miasteczku Tembleye, a ja dostałem kwatere u księdza proboszcza; skorom się tylko ulokowałem, poleciałem usługującemu żołnierzowi, aby jak zwykle i tym razem zgotował co do posiłku, a że ten dotąd bardzo mało mówił po hiszpańsku, tłumaczył się przeto, jak mu się lepiej zdawało. Wziął duży nóż w rękę, poszedł z nim do kuchni i kucharce rozkazał dać sobie kurę, pokazując, że ją chce zarznąć i z niej rosół zgotować. Hiszpanka, ujrawszy w rękę nóż i usłyszawszy żądanie żołnierza, krzyknąć nielitościwie ratunku poczęła; na ten nieznośny hałas wypadam z mojego mieszkania i pytam się o powód jej żalu; na klęczkach, z płaczem błagać mię poczęła, abym darować raczył życie najlepszemu z całych okolic księdzu, dodając, że chętnie chce dać wszystko, co tylko w domu posiada, byleby można przy życiu zachować najlepszego „cury”. Okazało się, iż to było nieporozumienie między Polakiem a Hiszpanką, że kura nazywa się po hiszpańsku „galina”, a proboszcz nazywa się „kura”; straszono i zapewniano kucharkę, że Polacy żywcem ludzi jedzą, stąd wniosła, że ja postanowiłem zjeść księdza w rosole.

Podczas oblężenia Saragossy mieszkańcy, chroniąc się do miasta, unieśli wszystką żywność ze sobą. Nędra i głód między wojskami Napoleona były wielkie. Kradli też sobie nawzajem stworzenia, nadające się do jedzenia. Porucznik z 2-go pułku Legji, Kaliński, dostał skądś ośła, a lękając się, żeby mu go nie ukradli w nocy, przeciągnął postronk od ośła przez dziurę, umyślnie w baraku zrobioną, i przywiązał sobie do ręki. Jakież

było jego zdziwienie, kiedy rano spostrzegł u postronka nie osła całego, ale tylko... jego głowę!

WNUCZKA KRZYSZTOFA KOLUMBA. Ze wszystkich romantycznych i matrymonjalnych wydarzeń w czasie wojny hiszpańskiej głośnie było małżeństwo Chłusowicza. Chłusowicz, stojąc w Tudeli, koło Valladolid poznał się z jednym staruszkiem, Hiszpanem, który był w prostej linii ostatnim potomkiem Krzysztofa Kolumba. Wnuczka owego staruszka, młodziechna, bogata i piękna panienska, tak się szalenie a prawdziwie po hiszpańsku w polskim kapitanie rozmiłowała, że dziadek, bojąc się o jej zdrowie i życie, sam go do małżeństwa ośmielił, któreteż doprowadziwszy do skutku, zmarł wkrótce. Został ruchomy i nieruchomy majątek dość znaczny, który spadał na żonę Chłusowicza; ale najpiękniejszą spuścizną, rzecz można, klejnotem nieocenionym, przechowanym w rodzinie, najgłośniejszą po wiekopomnym podróżniku pamiątką był to na złotym, grubym łańcuchu takiż duży medal z wizerunkiem królewskiej pary Ferdynanda i Izabelli, wybity w roku 1494, dany Kolumbowi ze stosownemi napisami za odkrycie Ameryki. Po odbytej kampanji 1812 roku, gdy Chłusowicz, korzystając z amnestji, wrócił do kraju, kazano mu osiedlić się w stronach, skąd pochodził; w Petersburgu więc, nie wiadomo z jakich powodów, zostawiwszy małą córeczkę swoją Dolores u księżnej Naryszkin na wychowanie, powrócił w Grodzieńskie i zamieszkał u dalekiego krewnego swego, inarszałka Wrońskiego, w powiecie słonimskim, gdzie też do końca życia zostawał. Zjeżdżano się tam z ciekawością oglądać ów sławny medal! oraz wiele innych cennych pamiątek i przedmiotów; nie wiadomo jednak, co się z tem wszystkim po

śmierci Chłusowicza stało i jaki był los jego córki. Tak dziwną wypadków kolejną jedną z najslawniejszych w świecie pamiątek, za którąby dziś Anglik albo Amerykanin jaki góry złota położył, dostała się do nas, w uprzywilejowaną krainę zatrąty wszelkich zabytków przeszłości, i nie można zaręczyć, czy jej dla popadjanek na pierścionki nie przerobił jaki żydek słonimski. (Wedle Kajetana Krazewskiego).

ROZMOWA Z CHŁOPEM. Napoleon o pół mili od Smoleńska nocował z gwardjami. Gdy się zameldował, — opowiada pułk. Gajewski — kazał, bym wszedł. Zastałem cesarza w małym namiocie z królem neapolitańskim. Tego dnia był upał nieczmierny, więc siedział między łóżkiem i stolikiem rozebrany. Po drugiej zaś stronie Murat; zdawało mi się, że był dobrze napity, a cesarz podochocony. Wtem przyprowadzono chłopą, wracającego od bagażów armji rosyjskiej. Po wielu pytaniach, uczynionych mu co do kroków nieprzyjaciela (gdy chłop o Bożym świecie nie wiedział), kazał go pytać, czego by dla siebie żądał. Starąłem się wbić w głowę prostakowi to szczęśliwe dla niego wydarzenie, z ostrożnością jednak, bo Napoleon rozumiał kilka słów po polsku. Lecz chłop nie żądał, tylko powrotu do wsi swojej, mówiąc: „że się spieszy, gdyż jest zaręczony“. Stąd go cesarz w bardzo rozwziętych wyrazach kazał zapytywać, w jakiej on jest poufałości ze swoją narzeczoną. Nakoniec, nie mogąc i w tym względzie nic od niego wybadać, dał mu parę napoleonów z dodatkiem, bym go na dogę opatrzył kopnięciem nogi. Lecz mu tego upominku oszczędziłem.

CESARZ, MAZUR I CHORAĞIEW. W potrzebie pod Montereau działały dwa pułki piechoty polskiej, nowo zorganizowanej i wysłanej z Wersalu na linię bojową. Porucznik takiego pułku zdobył tego dnia chorągiew na nieprzyjacielu i przyniósł ją cesarzowi. Przypominam sobie po dziś dzień dzielnego, krępego Mazura, jak wywijał zdobytą chorągwią przed cesarzem, zanim ją rzucił pod jego nogi. Zwyczajem, przyjętym w wojsku francuskim, było wówczas, że płacono po sto napoleondorów każdemu oficerowi, czy też żołnierzowi za zdobytą na nieprzyjacielu chorągiew. Gdy zatem wielki szambelan dworu hr. Turenne podał rolkę złota Polakowi, ten cofnął się o parę kroków i odwróciwszy się do cesarza, rzekł do niego łamaną francuszczyzną: „*Moi, Sire, non argent, moi legion d'honneur*“. Cesarz kazał mi wytłumaczyć rodakowi, że bynajmniej nie traci prawa do krzyża, który dostanie, ale że owa pieniężna nagroda udzielona mu została jako dar ojca synowi swemu. „Kiedy tak, odpowiedział Mazur, pieniądze biorę, bom bez grosza, ale krzyż muszę dostać!“ Gdy m przetłumaczył cesarzowi słowa wiarusa, wręczył mu krzyż własnoręcznie, mówiąc mu: „*Vous l'avez bien mérité*“. (Wedle F. Gajewskiego).

MARKIETANKA BAŚKA. We wszystkich wyprawach Napoleona za każdym maszerującym pułkiem spotkać można było zwykle przy bagażach pułkowych kilka kobiet, zwanych markietankami. Przy wymarszu każda z nich musiała uzyskać od dowódcy pułkowego upoważnienie do dzielenia trudów wyprawy; bez tego bowiem z pierwszej stacji zwracano ją do domu. Z tej przyczyny, kiedy żołnierze gotowali się do marszu, mnóstwo zachodziło intryg między kobietami garnizonu dla

uzyskania tak pożądanego pozwolenia; zwykle jednak dowódcy pułkowi, nie zwracając na wiek ani na urodę, dawali pierwszeństwo tym, które w poprzednich wyprawach pułku dobrze się sprawowały. Trudno było zaiste wymówić się ostrzelanym amazonkom, kiedy z ognistą wymową stawały w obronie swych praw, wyliczając strawione lata na usługach całego pułku! Postać, ubiór i umysł tych kobiet różniły ich zupełnie od innej płci niewieściej — zahartowane w obozach, ogorzałe od słońca i niewczasów, naśladowujące zwyczaje i mowę prostych żołnierzy, szczególny częstokroć przedstawiały widok. — Dzieliły się one na stopnie; i tak widziałeś najzasłużeńsze, a przeto w lepszym bycie, jadące w małych wózkach, okrytych ceratą, z biczem w rękę, a na głowie w czepku z wielkimi kokardami; drugie konno, przy ostrogach, w pantalonach obcisłych, w damskim kapeluszu; inne zaś, świeżo przybyłe, przykrywszy lekką sukienkę dołmanem huzarskim lub szpencerem wielkim grenadjera, z utrefionemi lokami biegly piechotą, niosąc baryłkę na plecach. Przybierały one do swego imienia zwykle nazwisko pułku, do którego — trzeba wyznać — zawsze szczerze były przywiązane. Dlatego częstokroć kłóciły się i sprzeczały nawet krwawo o honor swych pułków. Mimo że prowadzenie markietanek nie było zbyt naganne, zdradzały często swych kochanków i mężów. Wytrwale na wszelkie trudy i marsze, nad podziw odważne, na kwaterach kłótlive, tę miały wszelako cnotę, że mało dbając o własne zyski, całą myśl zwracały na potrzeby pułkowe. Rannym i chorym niosły troskliwą pomoc, a w głodnych chwilach nawet pod ogniem armatnim przebiegały szeregi z żywnością i napojem i wtenczas za żadne pieniądze nie udzielały kieliszka wódki żołnierzowi innej broni.

Taką była też markietanka Baśka z pułku ułanów polskich gwardji Napoleona. Odbywszy szczęśliwie kampanje w Hiszpanji i Niemczech, gdzie zawsze wózek jej był licznie otoczony wesołem żołnierstwem, poszła za pułkiem w kampanję r. 1812, do Rosji. Tam, jak tysiące innych, doznała srogięgo losu. W Moskwie, po krótkiej chorobie, straciła męża, piekarza pułkowego — w kilka dni po urodzeniu pierwszego syna, którego z niewymowną radością awansowała na wachmistrza ułanów gwardji. W nieszczęśliwym odwrocie armji francuskiej Baśka zdołała dotrzeć szczęśliwie swym wózkiem nad brzegi Berezyny; lecz tu, nie mogąc się dostać na most skutkiem strasznego, natłoku bezbronnej zgrai maroderów, stała czas długi, tuląc swe dziecko do piersi w największej rozpacz. A kiedy granaty rosyjskie zaczęły padać wśród tych nieszczęśliwych, Baśka odcina konia od wózka, opuszcza wózek bez żalu z całym majątkiem, porywa dziecko a dosiadłszy konia, rzuca się na nim w nurty Berezyny! — Już miała się dostać szczęśliwie na przeciwny brzeg rzeki, kiedy koń, zmęczony w wodzie, pod nią upada i w tej chwili nieszczęśliwa Baśka traci swego małego wachmistrza! W takim stanie niedoli, skostniała od zimna przywlekła się wieczorem do naszego pułku, lecz wszystkie starania żołnierzy nie zdołały jej przynieść pociechy. Płakaliśmy z nią razem!.. (Wedle kapitana Hempla).

KAPITAN BIENKOWSKI. — Kapitan Biękowski, dzielny żołnierz napoleoński, lubił opowiadać niestworzone rzeczy, które jakoby mu się przytrafiły w życiu. Kiedy raz była mowa w towarzystwie o starych miodach, opowiadał, że będąc w marszu do Moskwy

stał kwaterą na Litwie u księdza. „Otóż kiedy ksiądz rozochocił się i począł oficerów raczyć doskonałemi nalewkami — opowiadał p. kapitan — tak nakoniec wydobyl butelkę starego miodu. Fiu! Butelka ogromnie omszona; a kiedy z niej dał nam po sporym kieliszku, zaraz nas senność opanowała. Poszliśmy spać; — no i cóż asaństwo na to powiecie, że ja w nocy, uczuwszy małe wstrząśnienie, znalazłem się nagle w łóżku mego kolegi, a on w mojem. Miód przerzucił nami jak piłkami i to przez dość szeroki pokój. Ba, ale był stary!”

Raz trafił na żartownisia, który znów dowodził, że pewien oficer w Hiszpanji miał faworyta charta, który zawsze w otworze armatnim sypiał. — Chart ten tak był lotny, iż kiedy raz niespodziewanie kazano dać ognia, przebudzony kulą wylatującą, począł przed nią uciekać i jeszcze, obracając się, warczał na nią, że go gonila. I co pan kapitan powie, — kończył kpiarz — chart uciekł!

TYP WIARUSA. Józef Antoni Korwin Kossakowski, syn Antoniego, kasztelana inflanckiego, jako generał-adjutant odbył kampanję rosyjską przy boku Napoleona. W dniu 29 września mianowany był przez cesarza gubernatorem Moskwy, lecz po trzech dniach wrócił do kwatery cesarskiej. Był wraz z Wąsowiczem na pożegnaniu w Fontaineblau z Napoleonem po jego abdykacji. Wspominają o nim historycy francuscy jako o wiernym do ostatniej chwili Napoleonowi. W r. 1815 powrócił na Litwę, stopnia generała dywizji w wojsku kongresowem nie przyjął, mówiąc: „Kto miał zaszczyt służyć Napoleonowi, temu wolno służyć tylko Panu Bogu przy mszy świętej“.

BANIALUKI PANA WOLSKIEGO. W dawnym żytomierskim powiecie, około Lubaru, znany był około 1825 r. pan Jan Nepomucen Wolski, urodzony w roku 1770. W okolicach Lubaru zawsze się kręcił, od domu do domu jeździł, opowiadał różne bajki i wymysły własnej imaginacji, które młodzież i dzieci nieskończenie śmieszyły i bawiły. Ten Wolski wstąpił do wojska polskiego za Kościuszki i Napoleona, trochę służył i zwykle go odtąd nazywano majorem. Najwięcej lubił opowiadać o Rinaldzie Rinaldinim, o walce z Brytanami na wyspie Haiti i o cesarzu Napoleonie. Powiadał, że on tylko i cesarz Napoleon mieli „kartę bezpieczeństwa“ od Rinaldiniego. „Nie pamiętam, co tam było napisano, wiem tylko, że drukowane nie były“. Najlepsze były wspomnienia wojenne p. Wolskiego: „Pod piramidami zajmowałem się przyjęciem Napoleona i chciałem po znojach przyjaciela przyjąć lodami, ale lodu tam nie było; przypomniałem sobie, że w Polsce latem im większe było gorąco, tem większy chłód w głębi lochu, i z puszką cynową tak się głęboko wko-pałem pod ziemię, że doskonale zrobiły się lody. Cesarz zgadł przy deserze, że tylko Jaś mógł wymyśleć sposób, aby zrobić lody w Egipcie. Zawsze mnie Napoleon nie inaczej, tylko po imieniu nazywał“.

„Pod Austerlitz cesarz się trochę zmieszał i mówi do mnie: „A co, Jasiu, rejterujemy?...“ „Nie, „Lamprur“ (tak Napoleona nazywał), trzymajmy się tamtego pierwszego planu“. „Tak mówisz, Jasiu? Dobrze!“ I wygraliśmy. Cesarz mi dał za tę radę tabakierkę. „Lamprur“, rzekłem, „a mnie to naco? Tabaki nie zażywam“. „Zda ci się“, rzekł, „Nosilem przy sobie tabakierkę. Jakęśmy rejterowali z Moskwy, prosi mię jeden z kolegów o tabakę, dobywam tabakierkę... patrzę — w niej

futro; samem się nagrzał i kolegom udzielił. — Byliśmy w San Domingó, patrzymy, z za góry tuman naprzeciw nam dąży, ale nie widzimy pod tumanem wojska. Cóż powiecie? Dzicy 24.000 wściekłych brytanów na nas wypuścili“.

Takie i tym podobne banialuki opowiadał poczciwy pan Wolski i sam święcie wierzył w ich prawdziwość. (Wedle E. Hellenjusza).

DOWCIP ŻÓŁKOWSKIEGO. Któregoś roku, już po kongresie wiedeńskim i po ostatecznym upadku Napoleona I, w dzień imienin cesarza Aleksandra I, wielka iluminacja płonęła w Warszawie; każdy starał się upiększyć ją, wiele było transparentów. Żółkowski wystawił w swoim mieszkaniu także transparent olbrzymich rozmiarów, na którym kazał odmalować litery: „N-A-P-O-L-E-O-N“. Kiedy o tem doniesiono wielkiemu księciu Konstantemu, kazał zawołać artystę i z wielkim gniewem objawił mu, że już jego koncepty przebrały miarę, kiedy nawet pozwala sobie robić śmieszki z cesarza, że tym razem już mu nie przebaczy i każe go natychmiast wziąć do aresztu o chlebie i wodzie. — Cóż ja winien, — powiedział on — że wasza książęca mość i jego policja nie umieją czytać, tam nic złego niema“. — „No, znowu jakaś farsa, gadaj prędzej, tłumacz się.“ — Na moim transparencie są początkowe litery wyrazów: **N**ajjaśniejszy **A**leksander **P**awłowicz, **O**dkupiciel **L**udów **E**uropy, **O**jciec **N**asz“. — Podobno Konstanty uśmieł się i przebaczył Żółkowskiemu.

*

*

*

Zebrane w tomie niniejszym obrazki i wyimki z przebogatej puścizny pamiętnikarskiej polskich napoleończyków ułożono w ten sposób, aby przedstawiły czytelnikowi Małego Kaprała w żywym słowie i geście, w momentach, w których nie ktoś o nim, ale on sam mówi lub działa. Niejedną z tych opowieści żołnierskich krytyka historyczna traktuje sceptycznie, wytykając wiarusom omyłki w datach lub sytuacjach, wszelako nie było zadaniem Redakcji „Gawęd” konfrontowanie tych wyznań z dokumentami historycznymi.

Poniżej zestawiony spis uwidoczni, z jakich pamiętników zaczerpnięto materiału.

Oczyma dziecku. Mickiewicz Władysław. Żywot Adama Mickiewicza. Poznań 1890. t. I, str. 22—3.

W drodze do Polski. Wybicki J. Pamiętniki. Poznań 1840, t. III, str. 5—8, 62—4, 80—3, 109 i nast.

Rozmowy w Poznaniu. Chlapowski Dezydery, gen. Pamiętniki. Cz. I. Poznań 1899. Str. 4—7. — Łubiński F. Pamiętnik. Warsz. 1876, str. 173—7.

A przecież to on! Ostatnia wojewodzina wileńska. Lwów 1896, str. 180—3.

*Cesarz i Francuzi w Warszawie.*⁷ Skarbek Fr. Pamiętniki Seglusa (wyd. petersbursk.), str. 337—42. — Potocka A. Pamiętniki, t. I, str. 95, 103—110. — Dembowski Leon. Moje wspomnienia I. 281—2. Grzegorzewska Sabina. Pamiętniki, str. 171, 184. — Potocki L. Święcone w pałacu Potockich (wyd. warsz.), str. 61—6.

Pani Walewska. Constant. Mémoires. T. III, str. 220 i nast.

Pocztą polową z Somo-Sierry. List Wincentego Krasińskiego według „Ziarna”. Warsz. 1908, nr. 49. Niegolewski A. Somo-Sierra. Poznań 1854, str. 27—9.

Na kwaterze głównej. Szymanowski Józef. Pamiętniki. Lwów 1899, str. 77. — Załuski Józef, gen. Wspomnienia o pułku lekkokonnym. Kraków 1865, str. 186. Szymanowski. Pamiętniki. str. 100—3. — Białkowski. Pamiętniki starego żołnierza. Warsz. 1903, str. 340, 342. — Sapięha L. Moje wspomnienia. Lwów 1910, str. 8. — Gajewski Fr. Pamiętniki. Poznań, t. I, 280. — Grabowski J. Pamiętniki wojskowe. Warsz. 1905, str. 540. — Weyssehof J. Pamiętnik. Warsz. 1904, str. 180—182.

Na balu w Wilnie. Tyzenhauz-Choisseul Gouffier Zofja. Mémoires historiques de l'empereur Alexandre, str. 179. — Pamiętniki dra Franka. Wilno 1913, tom III., str. 9—14. — Kurjer Litewski z 12 lipca 1812.

Antagonistka Napoleona. S. Antoniewski. Głos Narodu 1901, nr. 174.

Wielka rewja pod Smoleńskiem. Gawroński Fr. Pamiętniki (wyd. Akademji Umiejętności), str. 309. — Białkowski. Pamiętniki, str. 218. — Brandt H. Pamiętniki oficera polskiego, t. III, str. 40—3. — Weyssehof Jan. Pamiętnik, str. 139—141. — Dembiński H. Pamiętniki (wydanie warszawskie), str. 131—2. — Brandt H. j. w. III, 43—5.

Odwrot. Gajewski Fr. Pamiętniki. T. I, str. 265 i nast. — Wybranowski Roman. Pamiętniki. Lwów 1882, t. II-gi, str. 17—20.

„*Siebie wpięro zarębać pozwolim!*“ Kraszewski Kajetan. Od szkolnej ławy. Warsz. 1879 (opowiadanie Kuleszy). — Jankowski Czesław. Powiat oszmiański, t. I., str. 43. (ustęp z Bourgoing'a).

Mały Kapral w Łomży, Łuniński Ernest. Wspominki. Warszawa 1905, str. 168.

W hotelu Angielskim. Wł. Korotyński. Napoleon w Warszawie. Tygodnik Ilustr. nr. 131. — Potocki Leon. Świątce w pałacu Potockich, str. 87—90.

Na pagórku pod Fuldą. Dembiński H. Niektóre wspomnienia. (Pamiętniki polskie Bronikowskiego, t. III., str. 245). — Skalkowski Adam. En marge de la correspondance de Napoléon I.

SPIS RZECZY:

	Str.
Przedmowa	
Oczyrna dziecka	1
W drodze do Polski	2
Rozmowy w Poznaniu	9
A przecież to on!...	16
Cesarz i Francuzi w Warszawie	21
Pani Walewska	38
Pocztą polową z Somo-Sierry	44
Na kwaterze głównej i wśród wianusów	49
Na balu w Wilnie	70
Antagonistka Napoleona	76
Odwrot	91
Siebie wpierw zarąbać pozwolim	99
Mały Kapral w Łomży	106
W hotelu Angielskim	109
Na pagórku pod Fuldą	119
Anegdoty i historyjki	127

WYDAWNICTWO POLSKIE, LWÓW—POZNAŃ

ANDRUSZEWSKI JAN:

NOWELE — 1921

BANDROWSKI JERZY:

CZERWONA RAKIETA — POWIEŚĆ — 1921

KRWAWA CHMURA — POWIEŚĆ — 1920

PIELGRZYMI — POWIEŚĆ — 1920

BRYŁA ST. WŁ.:

AMERYKA — OPOWIADANIE PODR., ILUSTR. — 1921

CHANCEL J.:

CZARNA KSIEŻŃ. — POW. DLA MŁODZ., Z ILUSTR. — 1920

GAWALEWICZ MARJAN:

GĄBKA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921

MROZOWICKA IRENA:

KOLEDZY — POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY — 1922.

REUTTÓWNA MARJA:

ŻYCIE ZA WOLNOŚĆ — POW. HIST. DLA MŁODZIEŻY,
Z ILUSTR. — 1922.

RODZIEWICZÓWNA MARJA:

ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE — 1921

BARCIKOWSCY — POWIEŚĆ — WYD. TRZECIE — 1922

CZAHARY — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE — 1922

JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POW. — WYD. CZW. — 1921

JOAN VIII. 1-12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 1920

KĄDZIEL — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE — 1922

MACIERZ. POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE. 1921

WRZOS — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 1921

Z GŁUSZY — WYDANIE TRZECIE — 1922

STRUG ANDRZEJ:

OJCOWIE NASI — WYDANIE DRUGIE — 1921

PÓRTRET — WYDANIE DRUGIE — 1921

SZELAĞOWSKI ADAM PROF.:

WALKA O BAŁTYK — WYDANIE DRUGIE, ILUSTR. — 1921

TURNAU JERZY:

MONA LISA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921

MUSZKA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921

WASYLEWSKI STANISŁAW:

HISTORJE LWOWSKIE — 1921

NA DWÓRZE KRÓLA STASIA — WYD. DRUGIE — 1921

OPOWIESCI DZIEWCZĘCE — 1920

ZAWADZKA J.:

DZIEWCZYŃKA Z KOZĄ — POW. DLA MŁODZ., Z ILUSTR. —
1922.

